

G. Zatołska

Szmat
ŻYCIA

SZMAT ŻYCIA

Wincenty
Dobrowski

Wasilkeni ul. 15/VII - 20

576.

Gabryela Zapolska.

SZMAT ŻYCIA

POWIEŚĆ

Część 1.



WARSZAWA.

Druk L. Bogusławskiego, Ś-to Krzyska 11.

Telefon 195-52.



47132/1

K-17/77/ 83483

I.

— Nie ucieknie?...
— Nie... ciotko!...

Marya przechyliła beczulkę; cienka struga cuchnącej siwuchy zasrebrzyła się w płomieniach zachodzącego słońca.

Ciotka Elżbieta wyciągnęła rękę.

— Dosyć! Cóż u diabła, chcesz rozlać po ziemi?...

Marya postawiła beczulkę i z wyciągniętą ręką, w której tkwił kieliszek, stanęła na stopniach ganku.

— Warka! — zawołała.

Z tłumy cisnących się dokoła ganku chłopów i chłopek, oderwała się kobieta bosa, w pół naga, z podniesioną wysoko nad kolana parcianą koszulą.

Zbliżyła się do ganku, po wódkę sięgnęła i, wypiwszy drobnymi łykami, usta rękawem koszuli otarła.

Marya wyciągnęła znów rękę, odebrała kieliszek i ku beczce się zwróciła.

Tymczasem ciotka Elżbieta liczyła coś na kawałku zatłuszczonego papieru.

Liczyła, mazała, znów liczyć zaczynała—siwe, małe oczy ku niebu podnosząc.

Lekki powiew wiatru, muskającego o zachodzie słońca drzewa sadu, włosy jej z pod chustki rozwiewał, jak wążkie, białe węże w kłęby skręcone.

Wreszcie... liczyć przestała i twarz obrzękłą, nalaną żółtym, niezdrowym tłuszczem, ku stojącej przed gankiem kobiecie zwróciła.

— Rubel i trzydzieści sześć kopiejek... Co?

Kobieta milczała, patrząc obojętnie przed siebie.

Ciotka Elżbieta w kupie miedziaków, leżących na stoliku, grzebać zaczęła. Wydobyła kilkanaście sztuk, przeliczyła raz jeszcze, suwając miedź w krótkich, wałkowatych palcach z jakimś zmysłowem zadowoleniem.

— Masz! na! — wyrzekła wreszcie, podając całą garść ciężkiej monety, apatycznej i jakby zaspanej chłopce.

Kobieta podniosła zapadłe oczy na mówiącą i patrzyła chwilę w tę twarz nabrzękłą, poprzecinaną bruzdami.

— Czy ci nie dosyć? zlicz sama! — syknęła Elżbieta ze złością.

— Niechaj!—odrzekła Warka, ujmując brzeg swej koszuli i podsuwając się pod okap ganku, płótno rozciągnięte pod rękę Elżbiety nadstawiała.

Ciotka Elżbieta garść miedzi w koszulę

wrzuciła i jakiś cień uśmiechu przesunął się po jej wybladłych wargach.

Jeden z miedziaków potoczył się po stopniach schodów i zarył się w trawę.

Kilku chłopów rzuciło się rozgarniać zarosnięte ścieżki i w masy psiego rumianku zanurzać swe zczerniałe wielkie dłonie zaczęli.

Tymczasem Warka wracała na dawne miejsce, zakładając najspokojniej brzegi koszuli za pasek fartucha. Ciemna barwa nóg odcinała się na wysokości łydek, dalej skóra miała białość anemicznej i bezkrwistej zupełnie istoty.

Marya jedna spojrziała na to ciało kobiece, odsłonięte z brutalną szczerością wśród purpurowo złotej powodzi blasków zapadającego słońca. Po twarzy chudej dziewczyny przemknął cień litości dla tych bardziej jeszcze wychudłych członków kobiety roboczej, odbierającej nędzną zapłatę za pot krwawy, który reszty sił i zdrowia zabierać musiał.

Powoli wzrok jej z nóg Warki przeniósł się na całą gromadę chłopów, oblegających ganek, czerniących ścianę domów, zalegających łany trawy, rosnącej dokoła dworu.

Stali tak z odkrytymi głowami, przez resztę szacunku, jaką mieli zawsze dla fasady dworu i obecności samej pani. Głowy ich, pokryte pokudlonemi, nierozczesanemi włosami, miały prawie jeden i ten sam odcień myszato-rudawych włosów, jakby pokrytych warstwą białawego kurzu. Czaszki nie różniły się także: wielkie, nieskształtne, uparte, jakby czworograniaste. Szyje

cienkie, jakby poprzecinane masą żył, prawie do pół obnażone, źle okryte rozpiętą na piersiach koszulą. Plecy przygarbione, wypukłe, okryte nędznymi płóciennymi świtami. Koszule na płaskich biodrach wiszące wolno, prawie bez śladu jakichkolwiek kształtów, nogi pokaleczone, bose, całe czarne od wrośniętego kurzu.

Kobiety, mało różniące się od mężczyzn, zapadłe, bez linii, bez piersi, bez bioder. Owinięte całe w szmaty płócienne, z głowami okręconymi zniszczonymi chustkami. Tu i owdzie błysnęła świeższa twarz młodszej dziewczyny, gdzieniegdzie pierś zaznaczyła się wypukle pod rozchyłoną koszulą.

Były to wyjątki, nieliczne zresztą zupełnie. Przeważnie wszyscy ci ludzie mieli w sobie płaskość i zanik kształtów, uplastycznienie nędzy moralnej i fizycznej, coś smutnego w pochyleniu ku ziemi głów i coś dziwnie upartego w błysku szarych oczów.

Owiani dymem kurnych chat, nawet wśród świeżej woni skoszonego siana, płynącej z sąsiedniej łąki, mieli w fałdach swych brudnych płócien jakiś ostry zapach nędzy i trywialnego pożywienia.

Tymczasem ciotka Elżbieta liczyła znów cyfry na zatłuszczonym kawałku papieru.

Ręka jej drżała.

Od czasu do czasu opierała łokieć prawej ręki na lewej dłoni i odpoczywała chwilę, patrząc w szarzące powoli niebo.

Miejsce Warki przed gankiem zajął młody

chłopak, w krótkiej, przepasanej czerwonym pasem koszuli. Świtek zdjęł z ramion i przerzucił przez rękę, a oparłszy się o cienki, lecz silny pręt leszczynowy, stał, pociągając co chwila nosem w charakterystyczny sposób.

W niekształtnych jego rysach przebijała się jakaś zuchwałość, z pod nierówno przystrzyżonej ciemnej grzywy widać było dwoje oczu dość bystrych, biegających pod frendzlą zupełnie białych rzęs. Białe miał również brwi i nikły zarost na górnej wardze, z pod której widać było jeden ząb, kieł biały, wytarty na chlebie razowym i odcinający się na sinawej prędze ust, jak ząb mopsa.

Wypił wódkę jednym haustem i, skinąwszy głową Maryi, stał teraz, oczekując zapłaty, ślizgając wzrokiem po kupie miedziaków, w której promienie słońca zapalały czerwonawe iskierki.

Ciotka Elżbieta podniosła wreszcie głowę.

— A no! to masz tak. Dwa ruble, kopiejek osiem.

Lecz chłopak zachnął się niecierpliwie.

— Nie tak! — wyrzekł ochryplym głosem.

Ciotka Elżbieta poruszyła się niespokojnie.

— Jakże nie? — spytała — według mego rachunku tyle ci się należy.

— U was tak, u mnie nie!

— A ile?

— Dwa ruble, dwadzieścia kopiejek!

Ciotka Elżbieta porwała się z miejsca.

— A! dwadzieścia kopiejek? — wołała — i zaraz! a we czwartek, kto odjechał od zwózki o go-

dzinę wcześniej ze swoją parą? Kto? jak nie ty, Orchim?

Orchim ramionami wzruszył.

— Ta ja... no... — zaczął.

Lecz Elżbieta dokończyć mu nie dała.

— To ja mam za twoje próżnowanie płacić?

Ty mi powiesz, że ci pilno było do swego? To się do roboty nie gódź! dosyć rąk jest; Niemców od kolonii cały huk, cała przepaść, a lepiej robią od was. To wiadomo!

Pomiędzy chłopami powstał nagle szmer.

— Niemcy! od kolonii!...

Lecz ciotka Elżbieta nie zdawała się zwracać najmniejszej uwagi na obudzenie się drzemiącej gromady.

— Tak! tak... Niemcy robią lepiej i prędzej, to wiadomo. Chłop, jak siądzie do strawy, to gotów jeść dzień cały, ale o zapłatę upomnieć się umie. A gdy mu uwagę zrobić, by prędzej jadło pchał, odpowiada: „niechaj się uleży!”

I, ująwszy się pod boki, przedrzeźniała ochryply głos ludu, chowając podbródek w węzeł chustki, okalającej jej głowę.

Z pod ciemnej grzywy Orchim spoglądał na nią w dziwny sposób.

— Dajcie!

Wyciągnął rękę po pieniądze.

Lecz ona, podniecona, uderzała się teraz po bokach, czyniąc sobie ulgę w wylaniu całego potoku słów na skulone głowy, czerniące się przed nią zbitą masą.

— Tak! tak! z Niemców przykład brać winni,

z Niemców, którzy zimują w jamach, jak zwierzęta, i budują sobie chaty bez niczyjej pomocy. Z Niemców, którzy karczują las, wyrwijając pazurami korzenie drzew i pnie całe...

Lecz Marya pociąga ją za połę męzkiego zakietu, który plecy ciotki okrywał.

— Ciotko! płac i skończmy tę pracę! Za chwilę się ściemni. Kolacyę podadzą!

Elżbieta urywa i, schwyciwszy odliczone miedziaki, sypie w nadstawione dłonie Orchima.

— Idź, idź próżniaku! — mówi w formie pożegnania.

Chłop odwraca się powoli od ganku, z za pazuchy wyjmuje szmatę płótna, nieokreślonego koloru. Miedziaki do szmaty wysypuje i, związawszy, znów za koszulę chowa.

Poczem miesza się z gromadą i, splunawszy w bok, szepce:

— Lichwiarz!...

Powoli miedziaki ubywają i każdy chłop z kolei przystępuje do ganku, wywołany kolejno przez panią.

Każdy odchodzi, milcząc, czasem tylko spluwając ukradkiem, czasem z chwilowo zapaloną iską w oku.

Za chwilę jednak iskra gaśnie, pieniądze dzwonią za pazuchą, wydymając koszulę tuż przy pasie i obciągając fałdy.

Kobiety zostawiają pieniądze w podolku, a gdy odchodzą, za każdym krokiem aż hen ku bramie slychać brzęk miedzi, podrzucanej przez spiczaste i skręcone ku sobie kolana.

Wreszcie trawnik opróżnia się zupełnie. Powoli jeszcze od ścian domów odrywają się starczychy, owinięte płatami sierawego sukna, z siwymi dołami, zwieszającemi się na żółkłych piersiach. Oparte na kijach, wloką się zgarbione po zapłacie, dzwoniąc masą medalików, zawieszonych pod koszulą.

Stara Jewdocha, postępując, zawija w róg zapaski odebrane pieniądze, drżącą ręką płacząc płótno w niekształtny węzeł.

Gdy piła wódkę, zakaszłała, chwiejąc się na bosych, wielkich i płaskich stopach.

Marya szybko zeszła ze stopni ganku i, odbierając kieliszek z obciążniętych suchą skórą palców — wyrzekła:

— Oj, matko, czasby wam już odpocząć!

Staruszka spojrzała na mówiącą do niej dziewczynę przez bielmem zasnutę źrenice.

— A czas! — powtórzyła.

Poczem, dawnym obyczajem, z wysiłkiem Maryę pod kolana obejmując:

— Przyjdę wam się o domowinę pokłonić — dodała.

I — odeszła.

Marya śledziła ją długą chwilę, patrząc jak zgarbiona, powłócząc nogami, wlokła się z szumem wśród masy rumianków.

Ścieżki bo nie było.

Wszyscy deptali dziedziniec w rozmaitych kręcąc się kierunkach. Trawa rosła bujna, przecięta żółtą masą jaskrów, lub śnieżną bielą rumianku. Koło rozwalonego płotu ciemniły się pęki

pokrzywy i lebiody, tu i owdzie z tej ostrej zieleni szerzały bodjaki, gdzieniegdzie przecięte liliowo-czerwoną plamą.

Jewdocha ciemniała, jak szara bryła, posuwając wolno swój grzbiet, sukнем okryty, wśród fal zieloności.

Doszedłszy do bramy rozwalonej i nawpół przegniłej, zatrzymała się chwilę, przykładając rękę do oczów.

Widząc w głębi, ponad brzegiem pola, biejące gromadki chłopców, przestąpiła próg bramy i złała się powoli w jedno z szarą ścieżką ziemi, snującą się wzdłuż ścierniska.

Wtedy Marya oderwała swój wzrok od starczychy i wstąpiła na ganek, ścierając fartuchem rozlaną na stole wódkę.

Ciotka Elżbieta znikła w głębi domu, unosząc z sobą resztki pozostałych miedziaków.

Młoda dziewczyna powoli oparła ręce o stół i znów patrzyła przed siebie, a w wielkich jej czarnych oczach przebiegał się nieokreślony smutek i zniechęcenie.

Przed nią wszakże, po za lanami jaskrów i rumianku, ciągnęło się wielkie, szeroko otwarte pole, całe żółte od pokładającej się prawie ku ziemi pszenicy.

Złoto tej fali mieniło się, jak mora, w trochę czerwone smugi, ciemniejąc ku górze, gdzie się pole z początkiem lasu stykało.

Wśród pola — sterczał wielki, szary krzyż, ściągając ku sobie cztery ścieżki, przecinające fale czerniawemi bruzdami. Po za pszenicą,

olbrzymi, ciemny wał lasu, wał sosen masztówek, całych zda się czerniawo-aksamitnych, od wierzchołka płonących w purpurze.

Purpura ta zda się wytryskać z poza wału leśnego, oblewając brzegi podłużnych szarych chmur, tuż prawie nad wierzchołkami sosen rozciągających swe wydłużone, wązkie cielska.

Już po nad łanen pszenicy, niebo całe i powietrze przybiera barwę złotą, w której kąpią się ramiona krzyża, po nad jaskrami i rumiankami niebo bieleje jakąś mleczną barwą opalu.

Z poza lasu, z poza szumiących drzew sadu, na których opiera się kontur dworu, płyną odgłosy supilki i nawoływania.

— He! he!

Przeciągły ryk powracającego bydła i drewniane kołatanie łączy się z tym krzykiem, ciągnącym się w powietrzu.

— He!... he!...

Marya wyciągnęła ręce, pierś jej podniosła się nagle, jakby stłumionem lkanem.

Oczy przymknęła i pozostała tak nieruchoma, znacząc się, jak wązka, szarawa plama, w powietrznej przestrzeni ganku.

Tymczasem od strony maluchnej oficynki, przykurczonej do ziemi, ciągnął w górę prosto wąziutki słup dymu.

Mały staruszek, w długim kitlu płóciennym, wyszedł przed oficynkę i, przykładając rękę do zaczerwienionych oczu, spojrzał ku dworowi.

Postał tak chwilę i zwrócił się ku drzwiom wchodowym, po za którymi mignęła głowa starej

kobiety, ubranej w mantynową zieloną pelerynkę i siatkę z filozeli w rudawym odcieniu.

— Nic!—wyrzekł staruszek drżącym głosem.

— Nic? — powtórzyła kobieta — przecież już ósma!

W okienku oficyny pokazała się znów stara, gładziutko uczesana kobieta.

— Nic?—zapytała niespokojnie.

— Nic, Leosiu.

— Czekajmy!

Westchnęli wszystko troje i zniknęli we wnętrzu oficynki.

Lecz przez pęk rumianku przedzierał się ku dworowi teraz stary żyd, z długą, siwą brodą i w wytartym chałacie. Szedł, założywszy ręce za pas, mrugając zaczerwienionymi i pozbawionymi rzęs powiekami. Śpieszył się i snąć gorąco mu było, bo ocierał pot z czoła, z którego zdjął zatłuszczoną czapkę z ceratowym daszkiem. Z pod nóg żyda, tuż obok kępy macierzanki, wyskoczył rudawy kot i, przeciągając się, zniknął w lebiodach. Żyd splunął i szedł ciągle, aż dotarł do ganku i chrapliwym głosem Maryę pozdrowił.

— Dobry wieczór panience!

Dziewczyna drgnęła, jakby ze snu zbudzona.

— Dobry wieczór, Szmulu!

— Ciocia w alkierzu?

— Nie wiem; czy trzeba ją zawołać?

Żyd wszedł na trzeszczące stopnie ganku.

— Jabym bardzo prosił!

Marya odwróciła się, aby ku drzwiom postą-

pić, lecz już ciotka Elżbieta właśnie na ganek wchodziła.

Zobaczywszy Szmula, ujęła się pod boki.

— Jesteś, żydowska cytryno?

Szumul kiwnął głową.

— Dobry wieczór, jaśnie pani! Niech jaśnie pani żarty idą na zdrowie!

— Il!... pewnie, że na zdrowie—odparła—ale to na Szmula utrapienie. Wolalbyś, żebym do lasu zaglądać nie mogła?

Szumul wzruszył ramionami.

— A co mnie za szkoda z tego, że sobie jaśnie pani po lesie chodzi. Czy tak, czy tak, te werszki, co kupilem, wywiozę!

— Ale gdybym po lesie nie chodziła, tobyś ty nie tylko werszki wywoził, Judaszul!

Szumul cmoknął i podłużną, krogulczko zagiętą ręką po brodzie pogładził.

— Aj jaj!... Szumul na cudze własność nie łakomy. Ale ja tu przyszedł o dzierżawę Łagiewnik... jaśnie pani wiel...

Na twarzy Elżbiety wystąpiły sine plamy.

— Niedoczekanie twoje!—krzyknęła, uderzając pięścią w słupek ganku—wydzierzawie, komu zechce; twojej kurateli nie potrzebuję!

— Mój lichim właśnie dzierżawy szuka... — bąknął od niechcienia Szumul, ocierając czoło.

— lichim? Taki sam, jak i ty. Nie chcę! Dajesz dwa tysiące, kiedy Mandelsburg daje dwa tysiące pięćset!

— Mandelsburg? — przeciągle powtórzył

Szumul—ten paskudny żyd? on ziemię zniszczy i wysie, jak rude ciele krowę...

— Niech wysie!—odparła Elżbieta—to nie twoja rzecz!

Lecz teraz Marya patrzyła prosto w twarz ciotki i w tych uparcie wlepionych oczach w tłuste rysy starej kobiety było tyle milczącej naganiny, iż Elżbieta, silnie zdenerwowana, napadła na siostrzenicę, chcąc na nią gniew swój spędzić.

— Czego oczy wybałuszasz!—zawołała gniewnie.—co ci do moich interesów? pilnuj lepiej swojej roboty. Beczulkę z wódką zatocz pod drzwi alkierza!

Marya pochyliła się nad beczką.

— Pusta!—odrzekła, dotykając obręczy.

— Nic nie szkodzi. Zatocz i przed drzwiami zostaw. Przyda się jeszcze w dobrej chwili. Ty marnowałabyś wszystko!... Księżniczka!

Marya, powoli, schylona, uniósłszy cokolwiek swą beżową zniszczoną sukienkę, toczyła przed sobą beczkę zaczęła. Wystające łopatki w pochyleniu grzbietu znikły pod cienką tkaniną stannika, lecz zato uwidoczniła się cała kolumna pancerzowa, źle suchą skórą obciągnięta. Drobne biodra odpychały spódnicę w miarowym ruchu nóg. Nędzna to była dziewczyna; źle ułożona, źle odżywiona i opóźniona w rozwoju swej kobiecości.

Ciotka śledziła ją chwil kilka, poprawiając nerwowo chustkę, która ją tarcie swem w szal nieledwie wprowadzała. W ogóle ta cała welna,

w jaką Elżbieta ciało swe, reumatyzmem pokrecone, obwijała, drażniła ją i wprawiała w stan bezustannego podniecenia.

Szumł stał ciągle, milcząc, oparty o słup ganku, poddając swe nagie czoło pod chłód wieczorny.

Zdawał się zapominać, gdzie się znajduje i po co przyszedł, cały pogrążony w ciszy go ogarniającej, z maską starego patryarchy, oszpeconego trędotwatami wyrzutami skóry.

Elżbieta spoglądała na niego, szukając jakiego słowa, które znów rozmowę nawiązać by potrafiło.

Wreszcie Szumł powoli od słupa się odczepił.

— Dobranoc jaśnie pani!—wyrzekł, nakładając czapkę.

— Gdzie cię niesie?—burknęła Elżbieta.

— Jankiel jedzie, ot! ośdzie drożyną!... Podwiezie mnie... Stary Szumł nie zdąży tak chodzić.

Elżbieta spojrzała po-za łany rumianku i lebiody.

— Jedzie! — powtórzyła. — Kiwnij na niego; trzeba, żeby mi kogo do smolarni sprowadził. Ten... Adruszewski, bałwan, bańki powinien puszczać, a nie smolarnię prowadzić!

Wązką ścieżką, przecinającą pszenicę, czerniła się bieda żydowska, zaprzęgnięta w małą, rozczochraną szkapę.

Na biedzie siedział żyd, pochylony naprzód i z wyteżeniem na dwór patrzący.

Szumł zaczął czapką powiewać i rękoma machać. Bieda dojechała do krzyża, poczem w jedną ze ścieżek, prostopadle ku dworowi wiodącą, skręciwszy, znów z pośród pszenicy wynurzać się zaczęła.

— Jak myślisz, Szumł—zapytała znów Elżbieta — z Adruszewskim kontrakt zerwać można, skoro nawet palaczy dopilnować nie umie... Jankiel mi kogo nastreczy?

— On-by sam mógł!—wtrącił stary żyd, patrząc na wjeżdżającą przed bramę biedkę.

Elżbieta ramionami wzruszyła.

— On? gdzież znowu! Jeszcze by mi smolarnię rozrzucił swoim gospodarstwem.

Tymczasem Jankiel zeskoczył z biedy i, zarzuciwszy szkapie lejce za hołobłę, przez strugi kwiatów i trawy ku dworowi iść zaczął. Koń pociągnął pomiędzy lebiodę i stanął tam, okrywając się płachtą potarganych i pełnych ściernia kłaków. Jeno chude biodra sterczały mu, znacząc się jaśniejszemi liniami na rudawej sierci wytartej skóry.

Na widok Jankla jakaś chmura przesunęła się po twarzy Elżbiety.

Zasunęła brodę w węzeł chustki, jak ślimak w skorupę i oczy przymrużyła, jakby nie mogąc znieść blasku, bijącego z tej pięknej żydowskiej twarzy.

Jankiel przysunął się do stopni ganku.

— Wieczór dobry jaśnie pani! — wyrzekł dźwięcznym głosem.

— Jak się macie, piękny Janklu — odparła kobieta—rzadko was widuję teraz u siebie.

— Czasu niema. Roboty dość!—odparł żyd, spoglądając na ojca, który gładził brodę i wciąż po czole się macał.

— Jeździliście koło smolarni? co robi Andruszewski?

Jankiel uśmiechnął się i dwa rzędy białych, jak perły, zębów błysnęły wśród złocistej, falowanej brody.

— Co ma robić? chodzi sobie po lesie i witczką macha.

— Smolarnia dziś nie idzie?

— To jaśnie pani nie wie, że kocioł, ten lewy, się znaczy?

Na twarz Elżbiety wystąpiły płomienie.

Szumul przestał gładzić brodę i na lamentującą kobietę spojrział.

— Jaśnie pani Szmul o radę nie pytała, jak z Andruszewskim kontrakt spisywała. Jaśnie pani kurateli Szmul nie chce, a teraz... kocioł się znaczy, Andruszewski z witkiem po lesie chodzi...

Pani Elżbieta zdawała się przybita.

— Dyabli go wiedzieli! mówił mi: mechanik jestem, na rzeczy się znam! Dziś wygnąć go trza, koniecznie... koniecznie!...

Jankiel pokręcił głową.

— Kontrakt ma.

— Ej Jankiel — odparła kobieta, ku żydom się przysuwając—już tam kruczek jakiś wynajdzie się, jeśli tylko obaj zechcecie. Jeśli mnie opuścicie, przyjdzie mi chyba pójść z torbami!...

Ręce rozłożyła, oczy w niebo wzniosła.

— Z torbami!—powtórzyła.

Obaj żydzi stali nieporuszenie, nie spoglądając na siebie, jakby w ziemię wrosli.

Teraz powoli wszystko w przestrzeni szarzało, ciemny wał lasu w czarną plamę zlewać się zaczął.

Elżbieta znów o kilka kroków ku żydom się posunęła.

— Chodźcie do pokoju, porozmawiamy trochę, tu robi się chłodnawo; dla nas obojga, Szmulku, chłód, to niebezpieczna rzecz...

— Późno już, do domu trza—odparł Szmul, spoglądając w górę.

— Traficie jeszcze na czas, coś z tą smolarnią zrobić musimy.

— Jak jaśnie pani każe!

Elżbieta odwróciła się i przez próg domu przestąpiła.

Za nią na skrzypiący ganek wstąpili obaj żydzi, którzy za jej plecami zamienili ze sobą długie spojrzenie.

Wszedłszy do sieni, pełnej woni grzybów, Elżbieta ujrzała Maryę, klęczącą koło dzieży, pełnej świeżo zakwaszonych ogórków.

Dziewczyna obnażoną ręką sięgała w dzieżkę, wyjmując ogórki i układała je na talerzu. Całe gałązki kopru i bobkowych liści czepiały się na ramieniu dziewczyny.

Elżbieta przystanąła, sapiąc i spoglądając uważnie na wnętrze dzieżki.

— Pięć, pięć... dosyć! — krzyknęła—po co wyjmujesz szósty? zmarnuje się z pewnością.

Dziewczyna trzymany w ręku ogórek wrzuciła do dzieży.

— Myślałam, że pan Brunon przyjedzie—odparła, zamykając dzieżę wieczkiem i kładąc na wierzchu kamyk.

— Jak przyjedzie, to wtedy będzie dość czasu, a wreszcie może się obejść bez ogórka ten skąpiec obrzydły.

A zwróciwszy się ku stojącym na progu żydom, dodała:

— Chodźcie do salonu, suszą się tam maliny, ale to nic nie szkodzi.

Marya powstała z ziemi i gotowała się wyjść na ganek.

— Idę dzwonić na oficynę.

Elżbieta wzruszyła ramionami.

— A idź i zwołaj te pasibrzuchy. Zwołaj, i owszem.

I nagle, jakby potrzebując wylać pasyę, która ją dławiła, krzyknęła płaczącym głosem:

— No, no! pójdę z torbami!

Trzasnęła drzwiami i znikła w głębi domu.

Za nią posunęli się na palcach żydzi, owijając się o drzwi, jak czarne duchy, i tylko błada twarz Jankła mignęła wśród cienia, zalegającego kąty sieni.

Marya wyszła teraz znów na ganek i stała chwilę, jakby zdziwiona tą szarą barwą, która w oddali ciemniała w fioletowe tony. Wszystko się zlewało i nikło, pszenica przedstawiała się jak

obrus brudno-szary, a krzyż, przed chwilą jeszcze widoczny, znikł bez śladu.

Poryki bydła, nawoływania pastuchów, kołatanie dzwonek, wszystko umilkło.

Od czasu do czasu koń Jankła, posuwający się wśród lebiody, rozdzierał z szelestem liście i łamał pod kopytami z chrzęstem pokrzywy.

Po za oficynką stróż rąbał drzewo, uderzając systematycznie siekierą o pniak.

Marya ujęła za sznurek, zwieszający się pomiędzy dwoma słupami ganku i poruszać nim poczęła.

Przeciągle zajęczał dzwonek, płosząc zśród rumianków żółtego kota, który pomknął szybko w pole, pozostawiając za sobą jasną, szybko znikającą smugę.

Z oficyny wybiegła stara kobieta, ubrana w watowany kaftan i mająca żółtą chustką obwiązaną głowę. Siwe kosmyki spadały na jej twarz gąbczastą i pełną zmarszczek. Biegła żwawo, podnosząc brudnymi piętami długą spódnicę, która zapadała jej się na brzuchu i co chwila przeskadzała w biegu.

Kobieta trzymała w ręku durchszlak i machała nim bezustannie.

— Podawać?—krzyknęła, o kilkanaście kroków od ganku się zatrzymując.

— Możecie—odpowiedziała Marya, za sznur znów ujmując.

Lecz opóźniła się z powtórnem zadzwonieniem.

Coś turkotało na drodze po za rozwalonym płotem. Żydowska szkapa podniosła uszy, a wstrząsnawszy łbem, rozrzuciła pokudlaną grzywę.

Dziewczyna wyteżyła słuch, jakby chcąc rozróżnić tętent kopyt i turkot kół.

Wreszcie ramionami wzruszyła.

— Naturalnie on! — wyrzekła półgłosem — któżby mógł być inny w chwili, gdy kolację na stół podają!...

I, pociągnawszy sznur, dzwonić znów zaczęła.

I prawie równocześnie przez bramę wjazdową, podskakując, przeleciała niewielka bryczka, kilimkiem wysłana, w trzy chude białe konie zaprzężona. Konie te potrzęsały łbami i stawały z góry powykręcane dziwnie nogi. Były to wielkie szkapy, wyranżerowane z pulku huzarów, zaniedbane, wychudłe, z grzywami potwornych rozmiarów.

Dwie z tych apokaliptycznych bestyi wysuwały języki długie, płaskie, fruujące za każdym krokiem, jak dwie chorągwie z purpurowego sukna.

Ekwipaż ten zajechał przed ganek i z bryczki wylazł mały, krępy jegomość, ubrany w rodzaj spódnicy kobiecej, z rękawkami i związanej dokoła szyi.

— Cioteczka w domu? — pytał, zdejmując kapelusz.

Marya uśmiechnęła się lekko.

— W domu, niech pan wejdzie... kolację podają.

— Ja tylko na chwilkę — tłumaczył się no-

woprzybyły, przyklepując ręką poczernioną i starannie pocerowaną perukę—na chwilkę! przejeżdżając z miasteczka do siebie.

Marya nic nie odpowiedziała, tylko dzwonek jęczał znowu, poruszany jej ręką.

Mężczyzna tymczasem zdjął z siebie wierzchnią odzież i ukazał się w garniturze, zrobionym z kobiecej, jedwabnej w kraty sukni.

— Ty, Kuliczku! — wyrzekł, obracając się do bryczki — koników nie odpręgaj, ale tu ich troszkę na dziedzińcu zostaw. Ot tam, gdzie się tamten konik pasie. Idź, Kuliczku! idź, mój synu!

Z kozła bryczki podniosło się coś naksztalt człowieka, z głową rozczochraną, z plecami okrytymi podobną, jak u pana, spódnicą, tylko bardziej wytartą i zrudziałą.

— Co, pane grafe?

— Idź tam, koło płotka — powtórzył mężczyzna, pokazując ręką w kierunku szkapy.

Kulik podciągnął nosem, poskrobał się po głowie i, machnąwszy biczem, ruszył z kopyta.

Husarskie konie podniosły wysoko nogi, machnęły językami i wpadły w morze rumianku, szarpiąc bryczkę na prawo i lewo.

Tymczasem od strony oficyn ku dworowi ciągnąć zaczęły zgarbione postacie ludzkie, idąc jedna za drugą wpośród wilgotnej trawy.

Pierwszy szedł mały staruszek, zamiatając ziemię połami zniszczonego kitla. W ręku trzymał mały jakiś sprządek, migocący jaskrawymi kolorami.

Po za nim dreptała staruszka, w mantylce

zielonej mantynowej i siatce sznelowej, z twarzą szczupłą, zapadłą i pobielalą od wieczornego chłodu. O kilka kroków dalej płynęła, podniosłszy wyszarzaną spódnicę, stara kobieta o płaskich piersiach i gładko przyczesanych włosach. Usta miała wąskie, zaciśnięte i brodę spiczastą, nos orli i spłowiale błękitne źrenice. Z po za głowy, poprzedzającej ją staruszki wyciągnęła szyję i dojrzała krępą postać pana Brunona, stojącego przed gankiem.

Chwilę stanęła, jakby dla nabrania oddechu, poczem, opuściwszy spódnicę na obute w płaskie prunelowe pantofle nogi, wolniej już za drugimi podążać zaczęła.

Marya stała ciągle na ganku, jakby wyczekując na dojsście do dworu tej smutnej, pochyłonej procesyi, wolno wśród traw drepczącej.

Pan Brunon perukę wciąż przyklepywał i krótką a pomarszczoną kamizelkę obciągał. Wreszcie staruszek wszedł pierwszy na stopnie ganku, pochylając głowę.

— A... pan Bukowski! — mruknął Brunon.

Z kolei staruszka w pelerynce przesunęła się zwolna.

Ta trzymała głowę sztywno i zaledwie lekkiem zmrużeniem powiek przywitała gościa.

— Bonsoir madame! — wycedził Brunon.

— Bonsoir — odparła, niknąc w głębi sieni.

Płaska i gładko przyczesana kobieta trwożliwie na stopnie ganku wstępować zaczęła.

— Co, ciciu Leosiu — zapytała Marya — jakże tam twoje zdrowie?

Kobieta podniosła spłowiale oczy.

— Tak... nieźle... — odparła przyciszonym głosem, poczem, ku Brunonowi się zwracając, dodała jeszcze ciszej:

— Witam pana!

On uklonił się dość grzecznie i odwrócił głowę, jakby nie chcąc spotkać się ze wzrokiem kobiety.

— Cet animal Kulik nawet koniom uczciwie wypocząć nie da! — wycedził przez zęby, patrząc w stronę wózka, który chwiał się pomiędzy lebiodą, czerniąc się kadłubem, a bieląc cielskami koni.

Chciał iść nawet do bryczki i już złożył na stopniach ganku swój wytłuszczony kapelus, okolony kawalkiem czerwonego aksamitu, oberwanego, jak wieść niosła, z biskupiej karety, w której raz pana grafa odwożono do domu, gdy nagle drzwi od sieni otworzyły się z łoskotem i wypadł przez nie Szmul, wytrącony z wnętrza domu ręką Elżbiety.

— A idź na złamanie karku i niech cię więcej nie oglądam, ty zmoro mojego życia! — wołała pani domu drżącym ze złości głosem.

Szmul, znalazłszy się na ganku, poprawił pasa, obciągnął chałat i uśmiechnął się lekceważąco.

— Dobra pani, ale trochę prędko! — wyrzekł do Leontyny, stojącej wciąż na stopniach i śledzącej wzrokiem Brunona, poczem, zwróciwszy się do Maryi, dodał przyciszonym głosem:

— Jakby mnie ciocia potrzebowała, to ja

jeszcze będą kręcił się koło dworu z godzinę — potem wróć do karczmy!

Dziewczyna zmarszczyła brwi i skrzywiła się znacząco.

— Najlepiej Szmul zrobi, wracając zaraz do domu. Ciocia sama sobie da radę i pewnie po Szmula nie pośle.

Żyd pokiwał głową.

— Albo to prawda! — wyrzekł — ciocia bezemnie się obejść nie może. Panienska wie o tem dobrze!

Marya westchnęła i zwróciła się ku Leontynie:

— Chodźmy, ciociu, niepotrzeba, aby na nas czekano!

Zwracając się zaś do Brunona, dodała:

— Proszę pana!

Wszedłszy do sieni, minęli się z wyniosłą postacią Jankła, wychodzącego z dalszych pokojów. Żyd spokojnym zupełnie głosem życzył im wśród ciemności „dobrego apetytu!” Nikt mu nie odpowiedział i w milczeniu zupełnie wsunęli się wszyscy do sali jadalnej.

Sala ta dziwny przedstawiała widok.

Wielkich rozmiarów, budowana, jak zre-sztą dwór cały, *grandioso*, robiła niezwykle wrażenie pustki i zimna białością swych nagich wysokich murów, na których włóczyły się teraz już wieczorne cienie. Pod ścianami, jedne na drugich spiętrzone, stały krzesła, stoliki, szkielety kanap, półek i etażerek. Krótki szpincik z porwanymi strunami,

wyciągnięty cokolwiek na środek pokoju, nosił na swym delikatnym grzbiecie maluchne biurczko z połamaną i potłuczoną szafeczką.

Pod oknami, wychodzącymi na ciemny prawie, w tej chwili, sad, stał długi sosnowy stół, oparty na krzyżakach, okryty płachtą ceraty. Dookoła wąskie krzeselka, obite zrudziałą włosienią, z wystającymi i wypadającymi sprężynami.

Na ceracie poustawiano porcelanowe, dość cienkie talerze, malowane w błękitne muszki, grube szklanki, cynowe łyżki i widelce, olbrzymią karafkę z wodą i sól grubo tłuczoną.

Przed miejscem pani domu: cukierniczka, zamknięta na kluczyk, i puszka z herbatą, sitko, imbryk i mała łyżeczka.

Po za stołem, z ręką na cukiernicy, pani Elżbieta z miną groźną, chmurną, drżąca jeszcze ze złości po świeżej przeprawie z żydami. Widok pana Brunona nie wpłynął korzystnie na jej usposobienie.

— Kochany pan... znów na minutkę, w przejeździe — zaczęła syczącym głosem.

Brunon dłoń ku niej wyciągał, drugą ręką kamizelkę na dół obciążając.

— Wracając z miasta. Kulik już z nałogu nawrócił.

Elżbieta ramionami wzruszyła.

— Widzisz hrabio, u nas dziś kolacyjka skromna, ot—kluseczki wołyńskie, nic więcej.

Hrabia pomacał perukę.

— Co Bóg da! — odparł, szurając nogami.

Tymczasem, powoli, jak automaty, pozajmo-

wali miejsca swoje zwykli mieszkańcy oficyny. Pan Bukowski, przedtem jednakże, przed tale-rzem Elżbiety postawił rodzaj małego ołtarzyka, artystycznie ulepionego z tektury i kawałków pa-pieru.

— Dla dobrodziejki! — mówił, przysiadając do ziemi.

Elżbieta arcydzieło to pracy i cierpliwości w grube dłonie schwyciła i do światła podniosła.

— Ki dyabel? — spytała.

— Ołtarzyk, dobrodziejko, ołtarzyk według brygickiego ulepiony — odparł Bukowski, przysia-dając jeszcze niżej.

Elżbieta usta wydeła.

— I po co to asan czas i pieniądze mar-nujesz? — zaczęła wyniośle — do czego to takie fanfraluszki lepić? czy to nie lepiej iść w pole, ludzi doglądać, albo za proso pieniądze odbie-rać? Ha?

Bukowski poczerwieniał i zaczął poły płó-ciennego kitla gnieść.

— Stary jestem... nie zduszam! — wyrzekł przy-ciszonym głosem.

— Stary? — zachnęła się Elżbieta — młodszyś asan odemnie, a ja robię za trzech mężczyzn... bo muszę! bo mi nikt gotowej stawy pod usta nie podsunie i poprostu torby mi pozostaną, jeśli tak dalej pójdzie...

Staruszka w zielonej pelerynce utkwiła w mó-wiącą oczy, jakies groźne i gniewem błyszczące. Czuła w tej chwili podwójne upokorzenie, swoje i męża, który stał w postaci winowajcy z głową

siwą, spuszczoną na zapadłą pierś, okrytą szarą koszulą.

I gdy wreszcie Bukowski usiadł na swe miejsce, staruszka, porwawszy go za rękę, wpila mu w dłoń swe długie, spiczaste paznogie, spra-wiając w ten właściwy histeryczkom sposób ulgę swej tajonej wściekłości. Bukowski nie drgnął nawet, snąc przyzwyczajony do podobnych wy-bryków charakteru swej żony, lecz ciotka Elż-bieta przeczuła postępek Bukowskiej.

Złośliwie uśmiechnięta, wpatrywała się w twarz staruszki i, nic nie mówiąc, kiwała głową.

Przez nawpół otwarte drzwi, jak bomba, wpadła bosa kobieta, która odebrała od Maryi rozkaz podawania kolacyi. Za nią włókł się chłopak w krótkiej siermiężce i z konopiastą grzywą. Oboje trzymali w rękach półmiski, na których leżały niewielkie porcyce mięsa i szarych hreczanych klusek.

Marya półmiski odebrała i, stawiając je na stole, ku ciotce podsunęła.

— Władysławowo! przynieście samowar!

Władysławowa przekręciła na bakier chustkę, uderzyła w kark drapiącego się w głowę chłopca i wypadła jak bomba, dudniąc bosemi nogami po podłodze.

Na ten hałas Bukowska skrzywiła się nie-znacznie.

Po twarzy ciotki Elżbiety przesunął się uś-miech.

— Pani Bukowska cierpi na nerwy? — spy-tała układnie — najmocniej przepraszam za moją

służbę. Co chcecie, ordynarny naród, na droższych a delikatniej drzwi zamykających mnie nie stać.

Pani Bukowska nerwowo szarpała końce mantylki; znać było, że każde słowo Elżbiety sprawia jej dojmującą przykrość.

— Cóż robić—ciągnęła Elżbieta, sięgając do półmiska z mięsem, które zgnilawą woń rozlać do koła—coż zrobić, trzeba znosić, moja Bukosiu, i to znosić... bez skrzywienia, nerwy w kieszonkę schować. My, ludzie biedni, nie mamy prawa być wybredni i pieścić się... Prawda, panie hrabio?

Brunon nabral na talerz sporą porcję mięsa, nie zwracając uwagi, że Leontyna nieśmiało widelec swój wysuwa.

— Święta prawda, droga sąsiadko! — odparł z pełnemi usty.

Tymczasem Marya powstała od stołu i zbliżyła się do wpadającej znów, jak bomba, Władysławowej.

— Proszę was—wyrzekła suchym, urywanym głosem—wchodźcie ciszej, nie stukając drzwiami. Słyszycie?

Ciotka Elżbieta piorunującym wzrokiem spojrzała na dziewczynę, która ze swej strony nie spuszczała powiek.

Chwilę te dwie pary oczów gorzały, jak gromniczne świece, naprzeciw siebie zapalone. Wreszcie Elżbieta pierwsza spuściła wzrok i wlepiła go w pusty już półmisek.

Chwilę zapanowało głuche milczenie.

Brunon jeden pożerał nędzne szmaty gotowanego mięsa, rzucając przytem wzrokiem na prawo i lewo, poprawiając od czasu do czasu perukę. Leontyna pozostawiła na talerzu nieknięty kawalek i z oczami wlepionymi w obrus, z wypiekami na chudych i zapadłych policzkach, siedziała, prostując się co chwila na twardem krzeselku.

Bukowski kręcił machinalnie jakieś filarki z ośrodka chleba, a żona jego z oczyma lez pełnemi i drżącym podbródkiem tłumila w sobie rozdrażnienie nerwowe, szarpiąc widelcem lykowane, cuchnące mięso.

Ciężka, przygnębiająca panowała tu atmosfera, coś, co głowy ludzkie stufuntowym ciężarem ku ziemi tłoczyło, pomimo balsamicznej woni, jaka z otwartych okien do pokoju wpływała.

Powoli, niebieskawe cienie włóczące się po kątach występowały ku środkowi, zajmując coraz więcej przestrzeni. Niebieska ta barwa przybierała stalowy odcień i zamieniała się jakby w smugi dymu ku środkowi dążące.

Jedynie pani Elżbieta występowała jeszcze w jaśniejszym szmacie światła; siedząca obok niej Leontyna już miała niemal na twarzy odcień ziemisty, a odwrócony plecami do okna Brunon, na gładkiej powierzchni peruki poruszał refleks białawego światła.

Bukowscy i Marya tonęli prawie w cieniu i tylko talerze kładły białe plamy na ciemnej powierzchni ceraty.

W głębi pokoju czerwieniła się podstawa samowara, od czasu do czasu wypadł z sykiem purpurowy węgielek i zagasił na tacy. Pani Elżbieta przysunęła do siebie półmisek z hreczaniemi kluskami i szybko łyżką zaczęła ser i słoninę zgarniać na swój talerz. Czyniąc to, z uśmiechem spoglądała na Brunona, który niespokojnie śledził ruchy gospodyni domu.

Dwoje tych skąpców zdawało się wydzierać sobie z ust nędzne pożywienie, zapominając o istnieniu innych, przy stole siedzących istot.

Wreszcie Elżbieta odsunęła półmisek i, zwracając się do Brunona, powtórzyła z uśmiechem: — Kluseczki?

On westchnął i widelec swój w czarnej masie zanurzył.

— Kluseczki! — powtórzył.

Półmisek prawie pusty ku końcowi stołu posunął.

Nikt nie wyciągnął ręki.

Bukowski ogryzał łupiny ogórka, żona jego siedziała teraz przybita, łamiąc sobie palce pod stołem.

Elżbieta jakby z tryumfem spojrzała ku ciemnej stronie stołu.

Zdawaćby się mogło, że widok spuszczo-nych głów i nerwowo zaciśniętych ust sprawia tej kobiecie jakąś przyjemność.

Podniecona, zwróciła się ku Brunonowi.

— Dużo pan hrabia krówek nałapał?

— Grâce à Dieu!... szesnaście!

— I wszystkie w galerii?

— Wszystkie, co do jednej, sam zamknąłem na klucz, jutro będą wykupywać.

— Pan hrabia sam w nocy pilnuje?!

— A jakże, z Kuliczkiem, i Kuliczkowa krówka na przynętę się pasie!

Pani Elżbieta wybuchnęła śmiechem.

— Wyborne! — zawołała — wyborne! Hrabia masz pyszne pomysły; na przynętę jedna krowa, to wyborne! Prawda Maryo?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— To nieuczciwe! — odrzekła dobitnie.

Brunon przymrużył oczy.

— Eh! eh!... To tak na pozór. Ale później, gdy krówki już do galerii zapędzę, Kuliczkowi święcie jego krówkę oddaję i nie zajmuję, nie, nawet za zjedzoną trawkę nie liczę! A przecież za tę łączkę pod miastem drogo zapłaciłem, oh! les yeux de la tête!...

Elżbieta zmarszczyła brwi.

— Nie zważaj pan na nią! — zawołała z pasją. — Ma bzika i lubi udawać. Hrabia kolonizujesz?

Brunon po resztę klusek rękę wyciągnął.

— Naturalnie. To świetny interes. Niemcy, jak czarodzieje, nieużytek na rolę zamieniają. Widziałem, jak pani Elżbietówka rozrasta się i rozszerza. Po czternastu latach wszystko do pani należeć będzie. A jakie budynki! a jakie to czyste, ładne, miluchne!

Resztę klusek na talerz zgarnął i pożerać zaczął.

Marya powstała od stołu i, podszedłszy do

samowara, herbatę nalewać zaczęła. Odurzający zapach taniej, brodzkiej herbaty rozszedł się dokoła.

Elżbieta, cukierniczkę do siebie przysunąwszy, kluczyk przekręciła i wieczko otwarła.

— Spodziewam się — wymówiła powolnym, jakby leniwym głosem—nowego transportu Niemców, których osadzę w Zagajowie. Mam tam sporą część lasu zdatnego do wykarczowania. Powoli w ten sposób osiedlę wszystkie przestrzenie, po wyciętych lasach pozostałe.

Do stołu podeszła Marya i, postawiwszy na nim tacę ze szklankami, o krawędź się oparła.

— W Zagajowie chcesz ich znów osadzić, ciotko?—spytała.

Elżbieta podniosła głowę.

— Naturalnie, ciebie się o pozwolenie pytać nie będę.

Ręką do cukierniczki sięgnęła, wydobyła mały kawałeczek cukru i w szklankę jedną wrzuciła.

— Zanieś pani Bukowskiej!

Lecz Marya nie poruszyła się wcale.

— W Zagajowie? i tam będą Niemcy?—spytała—po co? nie powinnaś robić tego, ciotko!

Elżbieta prawie uniosła się z krzesła z gniewu i podrażnienia.

— A do stu dyabłów! jakim prawem się mieszasz w moje sprawy, zuchwalico jedna! — zawołała, bijąc pięścią w poręcz fotelu—jeśli zechcę, sprowadzę muzułmanów i w Zagajowie osadzę, a ciebie z torbami wyrzucę!

Marya stała ciągle koło stołu nieruchoma, tylko wielkie swe oczy w twarz ciotki utkwiała, oczy spokojne dominujące nad innymi istotami.

— Sprowadź muzułmanów!—odrzekła wreszcie — sprowadź nawet samojedów, lecz pamiętaj, że ta zamiana lasu na rolę toć zguba, i strata oczywista. Piasek bo masz pod spodem, piasek, w którym sosny się gnieździć mogą, i gdy Niemiec ci ziemię pazurami zorze, nie pozostanie ci się nic po nim, jak wydma piaszczysta!

I, ująwszy szklankę z herbatą, dziewczyna odeszła na ciemny róg stołu, przeprowadzona gniewnym wzrokiem Elżbiety i trwożliwym spojrzeniem Leontyny, która zdawała się dziwić, z jaką Marya mieć może tyle odwagi i stawić czoło tyrance, przed którą ona, w roli ubogiej krewnej, na łasce siedzącej, drżała.

Tymczasem Elżbieta, nie mogąc znaleźć odpowiedzi na słowa Maryi, powstała nagle od stołu i, chwytając pod pachę cukierniczkę, wyszła z pokoju, zatraskując po za sobą drzwiczki tak zwanego alkierza.

W drzwiczkach tych wykrajany mały otwór i założony szybką pozwalał widzieć tej dziwnej kobiecie, co się w jadalnej sali dzieje.

Przed drzwiami alkierza stała pusta beczka od wódki, zatoczona tu przez Maryę, i stary worek od soli, zczerniały i wilgotny.

Głuchy łoskot zasuwanego rygla zwiastował obecnym, że pani Elżbieta zamknęła się już na noc całą i że nie pokaże się aż jutro przy porannej herbacie.

Powoli wszyscy zaczęli wysuwać się z sali, dążąc do swych legowisk.

Bukowscy wyszli pierwsi, milczący, cisi, i tylko od czasu do czasu rodzaj stłumionego łkania z pod zielonej pelerynki wydierał się z piersi kobiety.

Idąc, jak wśród morza traw, ku oficynce, biejącej w nocnej pomroce, wydawali się jakby dwoje tulaczy, w noc letnią powracający do swego domostwa.

Na ganku stanęła teraz Leontyna i Brunon oczekujący na Kulika, który zdrzemnął się na bryczce.

Kobieta, oparta o słup, z rękoma splecionymi na zapadłej piersi, zdawała się wyczekiwać jakiegoś słowa ze strony mężczyzny. Lecz on milczał uparcie, odsuwając się na drugą stronę ganku, zdenerwowany, zaniepokojony sąsiedztwem towarzyski, milczącej i w cień spowiniętej.

Stali tak długą chwilę, nie widząc się prawie pomimo bliskiej odległości, nie patrząc na siebie, a przecież ciężąc sobie wzajemnie i szarpiąc nerwy.

Wreszcie bryczka zaturkotała, białe cielska koni zamajaczyły przed gankiem.

Brunon, nie oglądając się, ze stopni ganku zstępować począł.

Wówczas Leontyna pochyliła się i cichym, drżącym głosem rzuciła pytanie:

— Przyjedziesz jutro?

On wstępował już na stopień bryczki, owinięty w fałdy spódnicy, którą mu Kulik podał.

Usłyszawszy szept kobiety, zmarszczył poorane czoło, skrzywił bezzębne usta.

— *Peut-être!*—rzucił przez ramię.

Leontyna zaczęła zstępować ze wschodów.

— Jedź z Bogiem i dobrze!

On rękę do kapelusza przyłożył i poruszył się na siedzeniu. Kulik machnął batem, konie szarpnęły bryczkę i cały ten nędzny ekwipaż przez łany rumianku przedzierać się zaczął. Na ganku pozostała sama Leontyna i, przymknawszy oczy, stała tak długą chwilę, wsłuchana w turkot odjeżdżającej bryczki.

Zdawała się gonić myślą tego starca w peruce, trzęsącego się w tej chwili na nędznej wiązce siana w takt galopu huzarskich koni, zbierających pokrzywione nogi pod batem Kulika, wśród cieni letniej nocy.

Nagle—drgnęła, jakby ze snu zbudzona.

Ktoś położył jej rękę na ramieniu i delikatnie w pół objął.

— Nie piłaś, ciociu, herbaty?

Z kluczykiem w ręku drobna postać dziewczęcia stała.

— Nie, moje dziecko!—odparła Leontyna—wiesz, cukru mi nie dała!

Marya głowę na ramieniu ciotki położyła.

— Biedna ciociu! to przezemnie, ja ją rozgniewałam; zemściła się na was.

Leontyna obejrzała się niespokojnie.

— Pst!... — wyszeptala — może jeszcze nie śpi. Posłyszycie! a! niech Bóg zachowa!

Stuliła głowę, jak obity piesek; dreszcz wstrząsnął jej delikatnem ciałem.

Marya pocałowała ją w czoło.

— Idź ty spać, ciotko! — wyrzekła, jakby z odcieniem litości — chłód wieczorny źle działa na twoje zdrowie; idź spać!... proszę cię!

Leontyna podniosła głowę i wciągnęła silnie powietrze w płuca.

— Jak pachnie,—wyszeptała.

— Ot, jak ziemia nasza! — dorzuciła Marya.

Stały jeszcze tak chwilę, oddychając głęboko. Cała gama zapachów, ostra woń macierzanki, mdły zapach rumianku, niewyraźna woń lebidy, cała masa aromatów ziół i świeżego skoszonego siana płynęła teraz w przestworzu.

Nagle ciotka Leontyna odwróciła się ku Maryi.

— Pójdę!—wyrzekła krótko.

Coś ją dławiło w gardle. Chwila jeszcze, a lzy napłynęłyby jej do oczów, czuła to doskonale.

I poszła ku swej oficynce, unosząc wysoko zniszczoną sukienkę i zbierając ze ździebeł trawy krople rosy na swe rozdeptane pantofle.

Teraz Marya pozostała sama i odetchnęła pełną piersią.

Szybko rzuciła się w morze rumianku, deptając żółte jaskry, które ze złamanych łodyg sączyły płyn biały i lepki. Dzika cykorya łamała się z loskotem pod nogami dziewczyny, a puszyste trawy, kiście swe delikatne, jak koronki ku ziemi gięły.

Jak strzała, przebiegła Marya dziedziniec i wydoszła się na drogę. Przeskoczyła rów i pogrzyżyła się do połowy w złocie pszenicy, zmieszanej, zwłaszcza przy brzegach, z pękami kąkolu.

W tej chwili z po za drzew sadu, wypłynął na ciemnawe, lekko tylko posrebrzone nad domem, niebo, księżyc i oblał srebrną strugą szumiący łan pszenicy. W tej srebrnej powodzi zabłysnęły szare ramiona krzyża, okolonego czterema płaczącymi wierzbami, których drżące lekko listki białe prawie były i jakby szronem pokryte.

Marya zwolniła kroku i wzrokiem cały ten przepych srebra ogarnęła, zatrzymując się na czarnej ścianie lasu, która od góry miała jakby błękitną smugę, zwolna w cień przechodzącą.

Cisza panowała dokoła, cisza przerywana jedynie ćwierkaniem polnych koników i zdaleka na skrzydłach nocy niesionem rehotaniem żab.

Dziewczyna doszła do krzyża i na wzgórku pod nim przysiadła, obejmując kolana splecionymi rękami. Biała była i blada w tej światłości nocnej, która jej srebrnawy ton w blond warkocze kładła i jakieś jasne bruzdy po zapadłych policzkach znaczyła.

Przed nią po za morzem pszenicy widać się czarna wstęga drogi, okrążająca pole dokoła jak wąz drzemiący. Po za drogą dwór wznosił się pusty, odrapany, smutny, przyduszony czarną masą dachu, zlewającą się ku górze z ciemnymi gałęzmi drzew w sadzie rosnących. Na prawo je-

dna topola sterczy samotna, czarna, prosta jak grecka kolumna i długi wążki cień rzucająca.

Marya oparła głowę o podstawę krzyża i zdawała się kąpać w tej ciszy, spokoju, srebrze światła i woni, wydzierającej się z ziemi tłustej, niedawnym deszczem zwilżonej.

Był to odpoczynek prawdziwy, to milczące, półsenne marzenie wśród woni i blasków księżyca. Zmęczenie dnia całego ustępowało z ciała dziewczyny, a tylko rozrzewnienie wielkie i spokój ogarniały ją całą.

Siedziała tak uśmiechnięta, spokojna, milcząca, znając każdy szmer, każdy odgłos, rozróżniając zapachy ziół i kwiatów, chłonąc w siebie cudne efekta światła i cieni.

Nagle, wśród ciemnego tła drogi, powoli jakieś istoty posuwać się zaczęły. Szły milczące, trywialne, naprzód pochylone, zbite w niekształtną gromadę, ze skrzypieniem wózków, poszczekiwaniami psów i nawoływaniem chrapliwych głosów.

Gromadki te kroczyły wolno, ciężko, depcząc ziemię, która zdawała się jęczeć i uginać pod ich ciężarem. Ludzie ci szli z minami zdobywców, z fajkami w ustach, plując brunatną śliną w złote morze pszenicy, patrząc obojętnie na srebrne blaski, w jakich kąpało się wszystko dokoła.

Wreszcie, stanąwszy na drodze, spojrzeli po sobie i wyjąwszy fajki z ust zaryli grube obcasy w ciemną ziemię.

— Es scheint, das es hier sein soll.

— Jawohl!

Marya podniosła się teraz, jak z jednej sztuki wykuta i, mimowoli, jakby do obrony, wyciągnęła ręce. Lecz ręce jej opadły i tylko w srebrze blasków w ciemnych oczach dziewczyny zaświeciły łzy. I szumu brzoź płaczących słychać nie było, bo głuszył je skrzyp kół wózków wiozących bety, naszczekiwanie psa i ochryple, trywialne basowe dźwięki...

II.

Pałacyk tonął jeszcze cały we mgle porannej, drzewa powoli odwijaly się z szarawej obsłony i, wstrząsając liśćmi, chłoneły w siebie światło poranku. Z tafli stawu, błyszczącego w dali i objętego w ramy zieleni, płynęły opary i, czerpiąc się wysokich liści tatarakowych, ginęły w przestrzeni. Z okien chat dobywały się sinawe smugi dymu, a drzwi otwierały się co chwila, przepuszczając w pół nagie kobiety, śpieszące z wiadrami po wodę.

Tu i owdzie błysnęła serżowa zapaska dziewczyny, wracającej z łąki z całą płachtą trawy na plecach. Od strony dworu, parobek w koszuli, ze spodniami wysoko zagiętymi na muskułarnych nogach, siedząc na koniu, kierował się w stronę stawu.

Koń kulał i machał długim czerwonym językiem, wywieszonym z białego pyska. Dotarłszy do brzegu, z łoskotem i szumem zanurzył się w wodę. Człowiek pochylił się na grzbiecie zwierzęcia i, ręką czerpiąc, chciwie wodę pić

zaczął. Koń pił także i od czasu do czasu podnosił łeb w górę, a z pyska lały mu się srebrne strugi, migocące niepewnymi blaski. Koń posunął się dalej, rozpychając białą piersią całe płaty zielonej, kropkowanej rzęsy, przeciętej gdziegdzie szeroką płaszczyzną brązowawo-czerwonych liści okrzycy.

Rzęsa, jak rama z aksamitu, obejmowała teraz cielsko zwierzęcia, lecz człowiek zachnął się niecierpliwie i żyłastą a opaloną ręką delikatną powłokę przedzierać począł.

Zaklął niecierpliwie, spluwając w wodę.

Niebo z szarego robiło się powoli bladawo-liliowem z lekkim różowawym odcieniem.

Po za stawem ciągnęła się olbrzymia, szmaragdowo-zielona łąka, obramowana białym śniegiem soldackich pałatek, które zlewały się w oddali w jedną śnieżną całość. Po za pałatkami majaczała we mgle szarawej, zwolna w dół opadającej, czarna masa zamku, z po za którego różowe promienie, w złocistą barwę przechodzące, tryskały.

Od strony wsi dolatywał bezustanny skrzyp żórawia, pomieszany z tym dziwnym niepokojem porannym, w którym złane w jeden chaos głosy ludzkiej gwary, ryku bydła, gdakania plectwa, szumu drzew, jak hymn tryumfalny budzącego się życia, płyną coraz głośniejsze, coraz śmielsze, coraz silniejsze w świetle poranku; od strony obozu, jak wąż przez warstwy powietrza prześlizgiwał się głos trąbki, lub miarowy, suchy turkot bębnow.

Z bocznych drzwi pałacyku wyszedł teraz pan Brunon i stał chwilę, patrząc w przestrzeń przymrużonemi oczyma. Łysa głowa, nie okryta peruką, narzucona była podartą fularową chustką, związaną w duży węzeł pod brodą. W obramowaniu tej purpury, twarz Brunona, spuchnięta od snu, pomarszczona, ze smugami czernidła wzdłuż brwi, ust i brody—miała pozór starej gąbki, którą starto świeżo rozlany atrament.

Przepyszna woń, tylko tej ziemi właściwa i o poranku całą gamą zapachów w górę pływająca, otoczyła go nagle, walcząc napróżno z wonią tabaki i potu, jaką ubranie Brunona napojone było.

Lecz on przymrużył oczy i przez zczerniałe nozdrza wciągał w siebie tę woń ożywczą, brzydki, śmieszny, brudny w tym przepychu światła i barw, drgających coraz silniej na szarem niedawno tle horyzontu.

— Dobrze! — wyrzekł, gładząc się po brzuchu—dobre i smaczne bardzo.

Nozdrzami poruszył znowu i językiem spieczone wargi oblizał.

— Jakoś mi niewyraźnie! — szepnął znowu i oczyma po białej kuchence, stojącej opodal dworu, powiódł.

Z komina wydobywał się wążiuchny pasek dymu.

Brunonowi rozjaśniła się twarz, jakby pod wpływem jakiejś rozkosznej wiadomości. „Kuliczkowie wstali, gotują—chwala Bogu! będzie można dzień jako tako spędzić!”

I, złożywszy ręce w trąbkę, skąpiec ochryłym głosem krzyczeń zaczął.

— Kuliczku!... Kuliczku!... a pójdzi serce do pana grafa!

Przez okno kuchenki wylazł Kuliczek, okryty jedwabną w kratki peleryną i w chodakach, ze sznurów utkanych, na nogach chudych, pokręconych. Wiatr pelerynę rozwiewał, ukazując ohydne kształty skarłonego chłopca, okryte za ledwie zgrzebną koszulą. Kulik, idąc, potrzasał bezustannie rozwichrzoną czupryną i nosem pociągał, krzywiąc się w nadzwyczajny sposób.

Doszedłszy do pana grafa, kornie się skłonił i łamanym językiem mówić zaczął:

— A to żonka się pyta, co ma ugotować na południe panie grafe?

Brunon pokręcił głową.

— Nic, nic Kuliczku mi nie trzeba! Pojedziemy do Horodyszcz, tylko się z żydami rozprawię.

Kulik podrapał się w głowę.

— Ha?—wrzasnął nadstawiając ucha.

— Po-je-dzie-my do Horodyszcz! — powtórzył głośniejszym głosem Brunon.

Pod skudłonemi kłakami Kulik uśmiechnął się ironicznie.

— Zakładać?—zapytał.

— Chwileczkę, chwileczkę jeszcze; sam cię zawołam.

I pan graf, skinąwszy brudną ręką, odwrócił się od swego woźnicy i ku lewemu skrzydłu pałacu kroki swe skierował. W skrzydle tem mieściła się galerya, a raczej coś nakształt ga-

leryi, oszklonej małemi, drobnemi szybkami. Wiele z tych szybek wytłuczonych pan graf własnoręcznie pozaklejał papierem lub kawałkami ze spódnic świętej pamięci pani senatorowej. Spódnice te do tej pory ubierały Brunona i Kulika, służyły za kołdry, obrusy, firanki, szyby. Cały dom ten szeleścił od chrzęstu starych, kratkowanych materyj lub szumiał mieniącą się morą mantyny. Nawet Kuliczkowa przy dojeniu swej krowy, wiązała nogi upartego bydła szmatą jedwabną, na której wisiały jeszcze strzępy białej blondyny.

Podług głuchych wieści, obiegających dokoła pałacu, w piwnicach miały być zakopane jeszcze całe paki pełne sukien, mantyl, pelerynek, fisztek, berł, trzewiczków i wszystkich niemych świadków tryumfów balowych matki Brunona. Skrzynie te gniły w ziemi razem z pakami gobelinów, starych makat, pudeł z korecką porcelaną i pasami słuckimi. Całe zastawy stołowe, olbrzymie wazy wyzłacane wewnątrz w formach urn starożytnych, amfory delikatnie cyzelowane, puławy bez nóżek, z kołeczkami do przywiązywania tradycyjnej myszy, talerze płaskie o złożonych obwódkach, filiżanki bombiaste z monogramami, herbem i koroną, całe to srebro mieszane z kryształem, przecinane złotem żyłami, przeznaczone do odbijania tysiąca światła sturamiennych kandelabrow podczas obiadów nieskończenie długich w atmosferze odurzającej wyniosłej sali jadalnej — wszystko ten metal zbytkiem i przepychem przekuty — Brunon zamknął w podziemiu, sam spoconemi

i drżącemi rękami kopiąc grób dla niego w chwili panicznej trwogi o swoje mienie, gdy na horyzoncie zbierały się groźne chmury.

Biały, czysty i smukły wznosił się pałacyk Zabijanika, kryjąc w swem wnętrzu bogactwa istotne.

Jak mauzoleum, otoczony dokoła przezczystą zielenią drzew — białiał cichy, milczący, wyrzucając od czasu do czasu z pod swej kolumnady na wpeł przetrwione [starością, a żyjące jeszcze cielsko egoisty, którego pierś wydymała się od jedwabnego worka, napelnionego stosem banknotów. Brunon pieniądze bieżące, jakie wpływały mu niemal codziennie, nosił przy sobie, zaszywając co chwila rozpruwany worek, czarny od brudu i tłuszczu, a przymocowany do krępego torsu mężczyzny czterema kawałkami mocnego szpagatu.

Ostre, grube sznury, wpijały się poprostu w cielsko starca, znacząc siną pręgą krzyż na skórze pleców i kalecząc ramiona, on jednak zaciskał węzły z coraz większą zaciekłością, czując rozkosz prawie zmysłową w tym ostrym bólu, krającym mu ciało. Gdy, ubrany, wstępował na stopnie swego wózka, lub schodził z nich, sznury wpijały mu się w skórę i krew przylepiała grube płótno koszuli do ciała. Brunon uśmiechał się wtedy, uśmiechał rozkosznie. Uścisk księżniczki Hohensteigen Sigmeringen, która podobno jeszcze za życia pani senatorowej raczyła przez kilka dni zaszczycać młodego grafa swemi wzglę-

dami, nie był mu droższym nad ten namacalny dowód istnienia pieniędzy!

Pieniądz!... rubel... dla Brunona był wszystkim. Z galeryi, szczelnie na kłódkę zamkniętej, dobywały się teraz ryki krów żydowskich, złapanych w nocy na łące Brunona. Pan graf stał przez krótką chwilę uśmiechnięty, szczęśliwy, dumny z posiadania tej szmaragdowej łąki, która mu niemal co noc tak dobre korzyści niosła.

— Siedem! siedem krówek! — mówił, zacieraając ręce.

Lecz już koło stawu, na drodze, prowadzącej do pałacyku, pojawiać się zaczęły długie, ciemne postacie, idące gromadkami i gestykulujące żywo.

Brunon rękę do oczu przyłożył.

— Idą! — zawołał i zachychotał radośnie.

Poczem szybko, z pod krzaków okalających galeryę, począł ciągnąć mały, koszlawy stolik o trzech nóżkach, który przed laty służył pani senatorowej do rozmowy z duchami. Z szufladki wyjął kawałek kredy, położył na stole, przysunął pniak, poprawił rodzaj małego pomostu, maskującego trzy schodki do galeryi i ułatwiające pojmanym krowom wejście lub wyjście z więzienia i, usiadłszy na pniaku, oczekującą postawę przyjął. Tylko małe oczki latały mu z radością i palce nerwowo po powierzchni stołu przesuwwały kredę.

Ciemne postacie powoli pod dwór zbliżać

się zaczęły, z początku nieśmiało, nieufnie, jakby skradając się milcząco.

Niedługo jednak wiatr zaczął rozwiewać wytarte i rude chałaty, lub wąskie i ciemne spodnie. Żydzi szli teraz prędzej, dostrzegłszy Brunona, siedzącego na pieńku. Idąc, cmokali i pochylali głowy, lecz szli już wprost do galeryi, w której bydło porykiwało co chwila.

Brunon, przyczajony, z rękami wyciągniętymi, z uśmiechem powitał nadchodzących.

— Dzień dobry panom kupcom! — wymówił, świszcząc przez rzadkie i spruchniałe zęby.

Nikt mu nie odpowiedział na to uprzejme pozdrowienie, tylko z grupy żydów, otaczających teraz stolik, wysunął się młody, chudy mężczyzna, ubrany w szare spodnie, długie buty i chałat o zielonawym odcieniu.

— My o krowy! — wymówił wreszcie, zakładając ręce za pasek od spodni.

— Są! są wszystkie krówki! w galeryjce zamknięte i zebrane. Rubelek od sztuki, jak zawsze!...

Młody żyd skrzywił się pogardliwie.

— Rubel to za drogo! Pan graf należy wiedzieć, co nasze krowy za rubla zjeść nie zdążyły!... Pan graf!...

Lecz Brunon porwał się nagle z pniaka.

— Co się klóćisz? co? rubla dawaj! a nie, to idź do sądu, albo do sprawnika! Tymczasem krówka tu prezimuje.

— Krowa ledwie dziubnęła trawy! — odezwał się w gromadce płaczący głos kobiecy.

— Mnie nic do tego! krowy zająłem, mam prawo, moja łąka! moja trawa, moja pasza!

Rękami po stole nerwowo bić począł. Na jego suchej i zawiędłej twarzy wystąpiły nagle rumieńce, jak dwie plamy, i siny postronek z żył przeciął mu czoło.

Codzień powtarzała się ta sama scena, codzień żydzi usiłowali wytargować zniżenie kary na swą korzyść, codzień Brunon ciskał się jak szalony, bijąc pięściami deski duchów pośrednika. Stolik jęczał, przechylając się na prawo i lewo, wbijając chybotającą się nóżkę w lepka ziemię, porosłą rzadką trawą.

Tymczasem żydzi coraz głośniejszargotąc poczynali, kupiąc się w zbitą gromadkę, bezsilni wobec drzwi dobrze zamkniętych, po za którymi porykiwało bydło.

Brunon czekał, przysiadłszy znów na pniaku z rękami nerwowo zaciśniętymi koło szyi. Czekal i zielonawemi oczkami z pod przymkniętych powiek wpil się w zawiędłe twarze szwargocących żydów.

Wreszcie najpierwszy z całej gromady wysunął się znów młody żyd w zielonym chaluście i, czapkę z głowy zdjąwszy, do stolika postąpił.

— Pan graf pozwoli, my popłacimy po 75 kop.

— Rubel!—mruknął Brunon.

— Po 80 kop.

— Rubel!

— Po 85 kop.

— Rubel!

— Na moje sumienie, my więcej nie mamy!

— To idźcie do dyabła!

Nastala chwila milczenia.

Jakiś ptak zatrzepotał nagle skrzydłami i, na krzaku ożyn przysiadłszy, jagody dziobać począł.

Brunon ręką machnął.

— A kysz! kysz! rabusiu!—zawołał.

Ptak sfrunął z gałęzi i, świergocąc, zaczął koła w powietrzu zataczać.

Młody żyd czapkę na uszy wcisnął i z kieszeni wyjął garstkę srebra i miedzi. Garść tę monetę na stole położył, splunął i stał, czekając, aż Brunon skończy liczyć.

— Brakuje czterech groszaków!

Żyd splunął znów i trzymane w ręku cztery grosze na stolik rzucił.

Brunon monetę zgarnął w rodzaj długiej jedwabnej sakwy, którą nagle z pod kamizelki na biodra obsunął i, wyjąwszy z kieszeni klucz, ku galerii się skierował.

— A która to króweczka? — zapytał, stojąc już na pomoście.

— Ja pokażę! — odparł żyd, posuwając się kilka kroków.

Lecz Brunon podniósł ręce do góry.

— Niepotrzeba, sercel! niepotrzeba! już tylko opisz, ja ci ją sam przyprowadzę, grzecznie, ładnie, jak pannę w tańcu!

W dobrym humorze będąc, zacierał ręce i po sakwie się macał.

— Jakaż ona ta krowa? co? Srulu, duszko?

— Jaka ma być? — odparł ponuro Srul—jak krowa, z pyskiem, z ogonem, z rogami!

— Ale kolorek?

— Biała, z ciemnym latem na trzeciej nodze!

Brunon klucz w kłódce przekręcił i wszedł do galeryi, starannie drzwi za sobą przymykając.

Zaduch panował tu wszechwładnie. Kilka wiązek słomy, porozrzucanych pod ścianami, o które opierały się marmurowe karyatydy, służyły za podściółkę zbitym w kupę bydłom.

Krowa Srula stała najpierwsza z brzegu, bieląc się olbrzymim tułowiem w półmroku, za legającym galeryę. Część szyb wybita i oklejona kawałkami ciemnych materyi, reszta szkła, szarozielona od brudu i kurzu na zewnątrz budynku, nie przepuszczała tu wiele światła.

Krowy stały zbite w masę, z pyskami oślinionymi, przerażone, ogłupiałe tem więzieniem, w które się nagle dostały z zieleni łąki i zapachu ziół, wśród letniej spokojnej nocy.

Brunon podszedł do krowy i, ująwszy ją za rogi, na środek galeryi pociągnął.

Szedł na palcach ostrożnie, lawirując zręcznie pomiędzy plamami nieczystości i gruzami ozdób sufitu.

Zatrzymał krowę i w kącie galeryi się zwrócił. Ztamtąd wydobył zardzewiałą blaszankę i, przykucnąwszy przy zwierzęciu, doić je począł. Sinawe, cieniuchne strugi płynęły z wy-

mion chudej krowy, która niespokojnie podnosiła nogi, uderzając z loskotem racicami o posadzkę.

Wreszcie Brunon się podniósł i powoli, z uśmiechem, mleko z blaszanki pił, gładząc się po piersiach. Wypił połowę płynu, a resztę postawił w kącie, gdzie już stało kilkanaście rozmaitych naczyń, napełnionych zsiadłem i kurzem przysypanem mlekiem.

— Na wieczór—szepnął sam do siebie z zadowolaniem.

Poczem na rogi krowy postronek założył i ku drzwiom silnie pociągnął.

Doszedłszy do drzwi, otworzył je na rozcież i, oparłszy ręce o zad krowy, popychał na pomost opierające się i przerażone zwierzę.

W tej chwili właśnie słońce z całym tryumfem wypłynęło z po za ruin zamkowych i, otoczone szarawym wieńcem drobnych chmur, rozlało kaskadę światła na białe dachy „pałatek”, gładką zieleń łąk, jasną taflę stawu i w żółtawy ton wpadającą kolumnadę pałacyku. Oświeciło ciemne, zniszczone chałaty żydów, kładąc na twarze kobiet żółte plamy i zapalając iskry w rudych brodach mężczyzn.

Nagle, wyprowadzona z półcienia galeryi krowa, cofnęła się i, oparłszy silnie na tylnych nogach, wyciągnęła szyję, z której spadała długa żyłasta skóra. Poruszyła wilgotnymi nozdrzami i zaryczała długo, radośnie, jakby na powitanie słońca, które różowe, złociste, płynęło w górze razem z chłodem poranku.

Srul zbliżył się szybko i krowę za rogi pochwycił.

— Kim alte!—wyrzekł—kim!

Brunon z po za cielska zwierzęcia się wysunął i, drzwi znów szczelnie zamknawszy, do stolika się zbliżył.

Na desce leżała już kupka pieniędzy, a z rękami opartymi o stolik stała Tolce, żona krawca Hersza, sucha, chuda, zawiędła kobieta, w perkalowej chustce i peruce ze wstążek brązowych na ogolonej głowie.

— Dawaj pan krowę — zaczęła niskim głosem, suchym, jak uderzenie deski — i niech Pan Bóg ciężko pokarze za nasze krzywdy i za krzywdy moich dzieciów! My na takiego rubla, co go nam pan z pod serca wydziera, nocami ślepić musimy, my z Herszem do szabasu mleka w gębę nie tkniemy... A bodajcie pokręciło, a bodaj przez siedem dni twoje usta chleba nie tknęły! Ach!... Ty Grafes, ty krowołapnikes!...

I, za głowę się schwyciwszy, powtarzać przeciągle poczęła:

— Ach!... ty krowołapnikes!

Teraz z gromadki żydów i żydówek rozszedł się cały szmer głosów:

— Ach! ty krowołapnikes!

I liście leszczyny szumiały dokoła, jak echo tych przeciągłych, jęczących głosów:

— Ach! ty krowołapnikes!

Lecz Brunon z uśmiechem wlepił swe zielone oczki w szemrzącą gromadę.

— Łaj, łaj! a rubelka daj!—zaśpiewał w odpowiedzi.

I zachychotał rozkosznie, zgarniając miedź i srebro do sakwy, która pęczniała powoli, obciągając sznurki, na których zawieszona była. Powoli ubywało ludzi w gromadce i bydła w galerii.

Wreszcie ostatnia krowa zeszła z pomostu, stukając silnie kopytami, i ostatnia żydówka powtórzyła, plując na trawę:

— Krowołapnikes!

Brunon wstał, odstawił w krzaki stoliczek, który zachybotał nóżką, jakby duch pani senatorskiej wyrażał swe niezadowolenie wyrodnemu synowi i szybko, jak kula, potoczył się w stronę kuchenki.

Na progu siedział Kulik i onuczka z jedwabnej mory, niezdecydowanego koloru, pokrzwione i czarne nogi owijał.

Brunon zbliżył się do kuchenki, przelazł przez niski drąg, odgonił dwie kaczki, które mu do nóg przypadły, powąchał płyn, rozbeltany w skorupie hladyszki, który piły gąsienia, i wreszcie już w progu na Kulika utknął.

Ten zgramolił się z belki i na przyzbie usiadł, wlokąc za sobą cały stos gałganków.

Brunon strzep mory podniósł i do światła przeglądać zaczął.

— A... skąd ty to wziął? — zapytał, pochylając się nad chłopem.

— Pan graf dali—odparł Kulik.

— Serce, kłamiesz! ja takiego kawała je-

dwabiu dać ci nie mógł. Ty go wziął sam, synu!... a na drugi raz nie rób tego, bo ci paluszki poprzetnącam!

Szmatę w sakwę wcisnął.

— Baczysz?—dodał, wchodząc do kuchni.

— Baczę!—odparł Kulik płaczącym głosem.

W kuchni, przy niskim, szerokim piecu, krzątała się mała, brudna i rozczochrana baba. Gotowała w wielkim saganie jakąś ciec, po której pływały kawałki łykowatego mięsa.

Pod oknem stał stół; na nim leżało kilkanaście płatków czarnego zupełnie ciasta, a z tych niektóre zwinięte na kształt trąbki były.

Brunon już od progu na stół spojrział i ślinę przelknął.

— Pomagaj Bóg!—wyrzekł patryarchalnie od progu.

Baba nos w garść utarła i, głowę skłoniwszy, drewnianą kopystką mieszać w garnku zaczęła.

Brunon do pieca przystąpił, w garnek zajrzał.

— Krupniczek? — zapytał, uśmiechając się rozkosznie.

Baba nie odpowiadała nic, tylko z coraz większą pasją mieszała wrzący płyn, tak, że kropki syczały na rozpalonej blasze...

— Hm!... ładnie pachnie!—wyrzekł wreszcie

Brunon — ładnie i wygląda wcale smacznie.

Ku oknu postąpił.

— A... świstuny?

Jeden platek ciasta w brudne palce ujął.

— Świstuny!...

I nagle obrócił się ku ciągle milczącej babie.

— Wiecie Kuliczkowa? nie pojedę już dziś nigdzie! Czuję się niezdrów. Dacie mi na obiad coś ze swego, mały talerzyk krupniczku, troszkę!... o! tylko na posmakowanie! I ze dwa świstunki... Dobrze?

Baba głową skinęła, lecz w siwych jej oczkach wściekłość zagrała.

Brunon udawał, że tego nie widzi. Jedną ręką skubał ser, przygotowany na deseczce, i pozostawiał na nim ciemno-sine obrączki.

— Albo... dacie mi cztery świstunki — dorzucił, zabierając się do wyjścia.

— Do widzenia, Kuliczkowej — rzucił już na samym progu — do widzenia!

Ręką zrobił ruch wielkopański, na wzór pani senatorowej, żegnającej tłumy, zebrane w jej salonach na posiedzeniach spirytystycznych.

Baba przy piecu ani drgnęła, tylko pochylo na nad garnkiem, siwe swe dole kąpała w krupniku.

Brunon, wyszedłszy z kuchni, dostrzegł przywiązanego do kolka płotu siwego, dość chudego konia.

— Ki dyabeł? — zapytał Kulika.

— Pan posesor... o! ośdzie!

— A, a!

I Brunon przez płot ostrożnie przelazł, trzymając się zdaleka od konia, który ku niemu swój długi pysk wyciągał, dzwoniąc żelazem wędzidla i strzemion.

— No! wreszcie pana widzę!

Od strony pałacu zarosła i źle wygracowaną

drogą szedł młody człowiek, wysmukły i doskonale zbudowany. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że głowa jest zamałą do całej postaci, lecz pochodziło to zapewne z tego, że włosy czarne i lśniące nosił gładko przyczesane i przylegające do czaszki. Zdjął czapkę szarą, beżową z ceratowym daszkiem i szedł tak z odkrytą głową, doskonale się rysując na jasnym tle ścieżki. Po nad nim drzewa, zwłaszcza lipy, łączyły się w arkadę, przepuszczając jednak przez gałęzie strumienie złotawo-zielonego blasku.

I pełno było tego blasku dokoła mężczyzny, pełno tych jasnych przez liść przepuszczanych i przefiltrowanych tonów, które kładły zielono-złote plamy na czarną barwę jego włosów, przeciętych u czoła białym jak śnieg promieniem, na dość wąskie, lecz kształtne czoło, doskonały nos o nozdrzach cokolwiek rozdętych, pocziwie uśmiechnięte usta, ocienione czarnym, długim wąsem i szyję potężną, kształtną, choć dość suchą, szyję nerwową silnego mężczyzny, odsłoniętą śmiało w niskim wykroju różowej koszuli.

Jasna beżowa kurtka z kieszeniami wypchanymi po obu bokach, czarna kamizelka, szare spodnie, wsunięte w długie buty, nadawały tej sympatycznej, młodej postaci cechę wiejskiego zaniedbania, a pochylenie ramion, chód ciężki, opuszczenie rąk i wahadłowy ich ruch, byłby wymownym świadectwem abnegacji form.

Pan Brunon stał teraz oparty o płot, czekając aż posesor zbliży się do niego dostatecznie.

Wybrawszy odpowiednią chwilę, zrobił znów wahadłowy ruch rączką i powtórzył z oznaką niezadowolenia:

— Szczęściem pana widzę!

Młody człowiek wzruszył ramionami.

— Przecież częściej tu przyjeżdżać nie mogę; mam dość do czynienia w Horce. Robotnika ani weź, dostać nie mogłem. Sam po sadbach chodzić musiałem i prosić.

Brunon oczki zielone wytrzeszczył.

— Za pieniądze?

— A naturalnie... za pieniądze iść nie chcą. Wolą na leżakach gnić. Co pan chcesz, taki naród!

— A Niemcy?

Posesor machnął ręką.

— Sobą zajęci... chałupy stawiają, ziemię karczują, a zresztą co?... starych dwoje, a reszta drobiazg w każdej chacie. Zresztą... Niemców nie chcę! Chłopi się z nimi żrą! wiecznie nad karkami stój i rozbrajaj! Trudno się na dziesięć rozerwać!

Uśmiechnął się, pokazując dwa rzędy białych, jak mleko, zębów.

— Ot, niedawno poszło im o co? Niemcy przyszli do roboty w kamizelkach z zegarkami! To naszym w oczy zakłóło, dalej śmiać się i przekpiwać. Doszło do tego, że Niemcom do Turmny iść nazad kazał. Co pan chcesz! Nie lubią się! I racya w tem jest... Prawda?

Lecz Brunon nie odpowiadał. On sam miał

chęć wielką swój Korczyn Niemcom sprzedać, a nawet już pertraktacje o to rozpoczął.

— Ale ja tu do pana w trzech sprawach — zaczął posesor po chwili milczenia. — Po pierwsze: musisz pan się zająć naprawą owczarni, bo owce dziurami wylażą i idą sobie na spacer... do lasu...

Brunon podskoczył i za głowę się złapał.

— A pan co sobie myślisz? z kąd ja pieniędzy na to wezmę? może jeszcze owczarnię nową postawić?

— Zdałoby się — mruknął posesor.

— Pan jesteś dobry, panie Antoni! z panem to możnaby zbankrutować do reszty. Owczarnia dziurawa? Mój Boże!... taka śliczna owczarnia; mama senatorowa ją sama stawiała! Sama mama senatorowa nieboszczka!...

— To nie przeszkadza, że przez trzydzieści siedem lat zniszczyć się mogła, zwłaszcza, że ściany poprostu z chrustu spleciono.

Nastąpiła chwila milczenia.

Brunon nerwowo mrugał oczyma i sakwę pod połami mantylki ukrywał. Antoni, uśmiechając się, szpicrutą pokrzywy ścinał.

— Rób pan co chcesz — wysapał wreszcie skąpiec — ja nowej owczarni nie postawię! Zresztą... ja tam do Horki poślę Kuliczka, on to naprawi, bo to majster, jakich mało!

I, odwróciwszy się w stronę kuchni, zawołał:

— Baczysz, Kuliczku?!...

— Baczę, pane grafie! — brzmiała odpowiedź.

— Polikarpowi konie ukradli — ciągnął dalej Antoni — ukradli mu w mieście, gdy u Soroki ku-

pował tasiemkę dla żony. Zostawił je koło zjazdu, zszedł na chwilę i ot... przepadły bez śladu.

Bruno głową potrząsał.

— Pan mu wierzysz? — zapytał. — Może łże chamska dusza, żeby u pana nową parę dostać? ha?

— Polikarp wie dobrze, że u mnie dostać nie może, bo sam jestem biedny i ta moja chabeta, co ją pan widzi, to wszystko, co w stajni posiadam. Konie ukradła szajka Szmula z Sieniatycz, tego arendarza od pani Elżbiety...

— Z kąd pan wiesz?

— Mam list od złodziei!

— Pisali?...

— Wczoraj... w miasteczku list wrzucili, do mnie adresując. Żądają od Polikarpa trzydziestu rubli i każą je położyć na uroczysku w Wołochowie.

Brunon usta otworzył.

— Polikarp da?...

— Naturalnie!... Musi! Konie warte więcej, czortopchajka także prawie z Tepileckim z Nadgajec pomieniana. Dać musi. Będzie miał naukę, czemu się nie opłacił!

— A pan?

Antoni roześmiał się serdecznie.

— O! moją chabetę przyjaźń broni!...

— Jaktó?...

— Szefem bandy, po Szmulu, jest Malina, a to mój szkolny kolega... Dał mi słowo, że mojej chabety ani folwarcznych nie ruszy!

— Pan masz szczęście!

— Naturalnie. Ale... tu jest o panu wzmianka. O, proszę, niech pan czyta!

I, wyjąwszy z kieszeni kurtki kawałek zmiętego, ordynaryjnego papieru, zakreślonego grubym piśmem, podawał świstek ten Brunonowi, który odwracał się z przestraczem i przylepiał do płotu.

— O mnie?... Cóż może być o mnie?...

— Niech pan sam przeczyta.

— Za nic!

— Kiedy... bo...

— Czytaj pan!

— Ależ... niepodobna!...

— Czytaj pan, ja o to proszę...

— Ha, skoro pan każe!...

I, rozwinąwszy kartkę, czytać zaczął:

— „Co zaś do tej starej małpy z Zabijanika...

— Ha? — przerwał Brunon.

— „Co zaś do tej starej małpy z Zabijanika, powiedz pan, że tak, jak on sam krowy łapie, tak my jemu, temu grafu, jego trzy szkapy złapiemy i sztandary im obetniemy.”

Brunon drżącą rękę wyciągnął.

— Jakie sztandary? — zapytał.

— A no! języki.

— A! języczki! och!...

— „A co do niego...

— Nie czytaj pan! nie czytaj dalej!... Aj!... kurcze mnie chwytają!... Co oni chcą odemnie te łajdaki. Krowy mi łąkę zjadają, a oni mi koniki moje chcą kaleczyć i unieszczęśliwić. Aj! aj! co robić?

— Zapłać pan im ratę roczną, zostawią pana w spokoju.

Brunon wstrząsnął się cały.

— Ani grosza, ani kopiejki, ani fenia, ani złamanego szeląga!...—wyrzekł z mocą.

Antoni list zwinął i do kieszeni kurtki schował.

— To może pan ma pomiędzy nimi jakiego szkolnego kolegę?

Brunon nagle się wyprostował.

— Mój panie!—wyrzekł, uderzając się w pierś—mnie mama senatorowa przy sobie i w domu chowała. I to mnie uchroniło od kontaktu z chami i ludźmi złego towarzystwa, tak, jak ten pan... Malina.

— Jak pan chcesz. Obowiązkiem moim było ostrzedz pana, a teraz przystępuję do trzeciej sprawy. Co zrobi się z dożynkami? Czy ludzie z Omelna, z Zabijanika, z Modliszcz, słowem wszyscy chłopci pana przyjdą do Horki, tak, jak przeszłego roku?

Brunon skrzywił się i głową pokiwał.

— Bala! dożynki!... Panu zawsze w głowie egzaltacye! a rób pan sobie, co chcesz. Wódki dam trochę, więcej nic.

Antoni ramionami wzruszył.

— A toż wiem—odparł—wiem, że z panem trudna sprawa, tylko musiałem poznać wolę pana. To mój obowiązek.

Drzwi kuchni skrzypnęły i ukazała się w nich Kulikowa, chmurna i zamorusana, niosąca w obu

rękach garnuszek krupniku i miseczkę pełną świstunów.

Kulik dzwignął się od przyzby, lecz ona odepchnęła go nogą i szła prosto w stronę pałacu, wiodąc za sobą sznur gąsiąt i kaczek.

Brunon poruszył się niespokojnie.

— Obiadek—wyrzekł półgłosem.

Antoni już cugle od kółka odwiązywał.

— Odjeżdżam. Pan nie ma nic więcej do rozkazania?

Brunon zawahał się chwilę; coś nakształt zawstydzenia przemknęło po jego brudnej twarzy.

Antoni trzymał cugle w garści i konia bokiem ustawiał.

— Oto—bąknął wreszcie Brunon — mógłbyś mi pan mówić: hrabio! Wszyscy mi tak mówią.

Antoni roześmiał się serdecznie.

— Ale i owszem, skoro to panu robi przyjemność... Do widzenia, panie hrabio!

Szybko na siodło wskoczył, cugle zebrał, szpicrutę pod pachę wetknął.

— A z koniokradami? — zapytał.

— Już wiem, co zrobię: koniczki zamknę w galeryi i na noc drzwi szafy zastawię. Na szafie położę Kuliczka, gdyby kto drzwiami szarpnął, szafa się przewróci, Kuliczek spadnie i obudzi się... Tak, tak będzie najlepiej.

Antoni dusił się ze śmiechu.

— Pan hrabia ma genialne pomysły — wymówił, kłaniając się ironicznie — nie wiem tylko, czy Kuliczek je zaaprobuje. A teraz żegnam pana hrabiego.

Czapeczką w powietrzu koło zakreślił i, śmiejąc się ciągle, konia lekko nogą w bok trącił. Koń szarpnął się, parsknął i drogą pod lipami pomknął, topiąc kopyta w miękkiej, tłustawej ziemi.

Brunon tymczasem w ślad za babą, niosącą krupnik, dreptał, mlaszcząc językiem i gładząc się po piersi.

Gdy wreszcie Antoni z pod arkady lip na szeroką drogę się wydostał, odetchnął pełną piersią, na strzemionach się poprawił i, nieznacznie kolana ścisnąwszy, z klusa w kurc-galop konia przeprowadził. Czapkę zwinął, w kieszeń od kurtki wsadził i z całą rozkoszą poddawał swą twarz i szyję, spaloną jak u cygana, pod jasne światło słoneczne.

Przez wieś przejechał szybko, rozganiając stada gęsi, wlokące się w stronę stawu.

Koło kuźni ręką skinął gromadce chłopów, zbitych koło karej szkapy, której kowal, odziany w czarną koszulę, nogę wysoko podnosił i kopyto oglądał.

Tu i owdzie z poza płotu podniosła się na tętent konia postać kobieca i mignęła pasowa chustka, związana z tyłu głowy.

Pomiędzy zagonami kapusty, buraków i kartofli, kucaly dziewczęta — pochylone, obciśnięte w swych długich koszulach, okryte płachtami serży, w ciemne, brunatne paski.

Całe łany tytoniu szumiały dokoła płotów, żółte słoneczniki ku słońcu swe płaskie, złotemi strzępami otoczone, tarcze zwracały.

Dzieci, z białemi jak len włosami, w pół nagie, siedziały u progów chat, trzymając w opalonych rękach łyżki, lub kawałki chleba.

Jakiś czarny, obrosły kundel wyrwał się z pomiędzy chałup i Antoniemu drogę zabiegł, szczekając cienkim, przenikliwym głosem.

Od strony starej, rozwalonej kuchni żołnierskiej szła młoda kobieta, niosąc wiadra na poprzecznym drągu. Na szyi miała kilka sznurów koralu, które, podrzucane ruchem, dzwoniły za każdym krokiem.

Antoni z konia się pochylił i w wiadra zajrzał.

— Pełne?—zapytał.

— Pełne, paniczu,—odparła kobieta, podnosząc swą twarz opaloną, dziwnie odbijającą od białego płótna namitki.

— To idźcie!

Antoni konia zatrzymał, kobieta przeszła drogę i ku malej, podpartej drągami chatynie się zwróciła.

— Boże dopomóż!—rzucił za nią Antoni.

Ona już przez próg przelazła i powoli w ciemnej sieni zniknęła, znacząc po sobie srebrną strużkę wody, która z przepelnionych naczyń się lała.

Teraz Antoni znów konia wypuścił, dążąc na pole, w stronę namiotów żołnierskich, które jak stado gołębi, bielily się na tle zieleni. I, minawszy kilka grusz dzikich, rozpościerających się po za chatami wioski, znalazł się nagle na otwartem polu, oblanem dokoła czystą masą powietrza, błękitniejszą po skrajach, siniejącą w oddali.

Jak wąż srebrzysty, w tysiącnych wijąc się zakrętach, biegł Styr, pomiędzy namiotami i złotem cielskiem drewnianych stajen, aż na czystą łąkę się wydostawszy, wil się w harmonijnej linii coraz dalej, wlekąc za sobą kępki krzaków i wodnej łoziny, przyczepionej do brzegów.

Mienił się cały srebrno-błękitną łuską, spokojny, leniwy, w swem miękkim, wygodnem łożu, na w pół dziki, a pelen wdzięku, krając, jakby cienkiem ostrzem noża, tłustą, pełną pierś łąki, która z rozkoszą niewolnicy poddawała się tej bolesnej pieszczocie.

Antoni powiódł okiem po za tą lśniąca rozpadliną, w której migotały przejrzyste blaski i, śledząc kapryśne jej linje, wzrok swój w ślad za Styrem posłał.

Lecz rzeka gineła w oddali, zlewając się w jeden ton z płaszczyzną łąk i tylko dzwoniczki cerkiewek pobliskich wiosek wyskakiwały ku górze, i tylko droga topolami sadzona, czerniła się jak dwa rzędy olbrzymiego płotu, szpiczasto zakończonego.

Antoni cugle ściągnął i, powoli w stępa przeszedłszy, jechał teraz spokojnie, wsłuchany w dźwięk trąbki, dolatujący z pomiędzy namiotów, i miarowy loskot bębna.

Dwa długie sznury koni, pod linię ustawione, migotały w słońcu gładko wyczyszczonymi zadami. Iskry paliły się w stali bagnetów, ustawionych w kozły, lub opartych o tarcicowe baryery. Wszędzie czerniły się mundury, jak plamy ciemne na tle łąki. Z pod nawpół uniesionych ścian namio-

tów szarzały porzucone na ziemię posłania. W kilku zagonach w ziemi wykopanych długich dołów, siedzieli rzędem żołnierze, oczekując na jadlo.

Od strony kuchni, dwóch солдатów w czerwonych koszulach, z rękoma obnażonemi, niosło olbrzymi sagan, z którego dobywała się gęsta, biała para.

Antoni przez obóz szybko przemknął i, pozostawiwszy na lewo miasteczko i ruiny zamku, w drogę, wysadzoną topolami, wjechał. Droga przytykała z jednej strony do brzegów Styru i Antoni z uśmiechem na zielonawo-srebrną rzekę spoglądał, w której odbijały się gałęzie karłowatych wierzb, rosnących przy brzegu.

Z wody tej wydobywał się jakiś zapach mokrzy cy świeżo rozwiniętej, coś z irysów tylko co zerwanych i nawet z wody nieotrząśniętych.

Drobne liljowe kwiateczki bramowały brzegi, przetykane płatami niezabudek. Gdzieniegdzie pęd tataraku szumiał cicho, dając przytułek całej gromadzie drobnych białych motyli.

Rzeka płynęła tymczasem równo, spokojnie, niekiedy tylko szarpnięta przewaloną przez środek gałęzią wierzby, nawpół już przegniłą, z liśćmi niemal brązowymi, o zielonych prawie kornieniach. Z szumem woda przelewała się wzdłuż gałązek i szła dalej, tryumfalna, pełna światła, polyskująca iskrami słonecznego złota, które w mokrem jej wnętrzu przemieniało się w srebrnozielone odbłaski.

Antoni wstrzymał bieg konia i z rozkoszą wciągał w siebie tę balsamiczną wilgoć, z migo-

cącej łuski Styru bijącą. Z usposobienia dość sentymentalny, zrodzony z matki anemicznej, obnoszącej swą twarz wybladłą w ciasnych izdebkach ekonomicznej chałupy, miał chwilami porywy niemal dziecięce i duży ten, szeroko rozwinięty człowiek, tarzał się nieraz wśród świeżo skoszonej trawy, gryząc zwilżone rosą masy macierzanki, lub, jak szalony, przypadłszy do brzegów Styru, pił z niego chłodną woń wilgotną, która mu porywy jego temperamentu gasiła.

Prostak, niewiele umiejący — skończył tylko cztery klasy, i to z niemalym trudem — rzucił się cały w powódź światła, woni, barw i przestrzeni. I wśród tej bezbrzeżnej piękności pozostał uczciwym, sentymentalnym głupcem, grającym podczas nocy księżycowych na harmonii pod daszkiem ganku „Ständchen“ Schuberta!

Był to dziwny posesor, gospodarujący do brze, lecz z krzywdą dla siebie, pozostawiający w spokoju dziewczyny horeckie, zawsze milczący, zamknięty w sobie, mający coś z melancholijnej natury matki ekonomowej, która cała pobladła i drżąca z anemii, oglądała nogi indycząt, lub, głowę na piersi zwiesiwszy, wydawała otręby na zaprawkę dla prosiąt.

On, jako mężczyzna mocnej budowy i niemałych sił żywotnych, pracę swą fizyczną spełniał energiczniej i chętniej, lecz od czasu do czasu musiał się pławić poprostu w jakiejś uczuciowej powodzi, przywiązując się do woni łąk, do barwy małw, do pewnego oświetlenia horeckiego dworku, do ciemnego uroczyska wołochowskiego, do srebrnej

luski Styru, do swej harmonii wreszcie, zużytej, zniszczonej, biednej, którą zabrał z domu ojca razem ze starem siodłem i zepsutą żniwiarką.

Potrzeba tego sentymentalizmu ogarnęła dziś w dziwny sposób duszę Antoniego. Woń rzeki i potok słonecznego światła nie wystarczały mu jeszcze na zapełnienie tej pustki, którą nagle w piersi swej uczuwał. Po widzeniu się z Brunonem, uczucie to ogarniało Antoniego w bardzo silnym stopniu.

Poowijany szmatami, ten żyjący trup egoisty, macający sakwę pod złotymi plamami słońca i ciemną arkadą lip, sprawiał na nerwowem usposobieniu posesora silne wrażenie brudu i nędzy moralnej. Wyjechawszy z Zabijanika, potrzebował Antoni światła i przestrzeni. Zdawało mu się, że nagle wśród orgii woni i blasków nadeptał na cielsko ropuchy. Z wrażenia tego otrząsnąć się pragnął i na Styr teraz patrzył, starając się w tej migocącej błękitem, srebrem i zielenią wstędze utopić wspomnienie pana grafa, który, mając tyle, nie czynił nic, stając na poprzek biegowi czasu, zawalając, jak pniak wypróchniały drogę, po której sunęły powoli tłumy, dążące do wspólnego polepszenia bytu.

I z prawdziwą przykrością ujrzał teraz Antoni, że rzeka skręca nagle, ostro, brutalnie, jakby zagniewana i idzie w głąb łąk, odłączając się od linii topolowej, która, ciągnąc się jeszcze, urywała się nagle zamknięta i jakby zakończona nawpół rozwaloną bramą.

— Turemno!—wyszeptał.

Lecz koń już bramę przestępował i, wzdłuż płotu biegnąc, dwór odrapany, smutny, z oknami, deskami zabitemi, po za sobą zostawiał.

Antoni brwi zmarszczył i na drzwi się obejrzał. I ten sterczał jak grobowiec, zamknięty, smutny, czerniąc się plamami opadłego tynku, ze słupami ganku pokrzywionemi, z kominem wystygłym, w gruzy się wałącym.

I tu ktoś stanowisko opuścił, pozostawiając za sobą kupę gruzu, desek, smutny szum lip i roztrzaskane przez piorun topole. Antoni dwór ten znał, dziecinne swe lata, podkradając się do ogrodu pańskiego, przebył. Ojciec jego był długi czas ekonomem w Turemnie, i Antek, w płóciennych majtkach, zawieszonych na jednej szelce, często drogę od folwarku do dworu przemierzył. Lata przeszły, chłopak wyrósł, Turemno nabyli Niemcy i dwór deskami zabili. Ten, który część wraz z dworem nabył, miał tu browar stawiać, lecz ociągał się jeszcze, nie mając dosyć pieniędzy. Podobno mu miano odpowiedni fundusz nadesłać... skąd? Niemiec milczał i fajkę ślinił.

Dość, że na pieniądze czekał.

Teraz kopyta końskie zadzwoniły nagle i Antoni uczył twarde uderzenia siodła, które go zupełnie z zadumania zbudziły.

Po za dworem rozciągała się nie wieś, lecz osada, zakrawająca na miasteczko, przecięta wybrukowanymi ulicami, których linie biegły wzdłuż piętrowych domków.

I nagle z nad Styru, z nad szmaragdowych

ląk przestrzeni, z powodzi woni i światła znaleźli się Antoni w systematycznej niemieckiej osadzie, zabudowanej gontem pokrytymi domkami, z których okien wywieszono pierzyny i piernaty w kolorowych wysypkach, kładły ostre plamy na jednostajne tła ścian i dachów.

Przed każdym domem jakiś szmat zieleni, ogrodzonej parkanem, okrytej szarawą płachtą suszących się prześcieradeł.

Przed domami, w ogródkach lub w oknach, kobiety chude, płaskie, ubrane w niebieskie spódnice i także staniki, szczelnie pod szyję zapięte.

Koło spódnic kobiecych gromady dzieci, złotych, o głowach upartych, z rybem wyrazem oczu, z rękoma w kieszeniach barchanowych spodni.

Tu i owdzie na dachu domu mężczyzna w kamizelce z fajką w ustach, obrosły, ponury, wykończający pokrycie dachu z małpią jakąś zrzecznością.

U drzwi „resursy“, nieco większego domu, odróżniającego się purpurową płachtą firanek, po za szybkami czerwieniejących, kilku opóźniających się na robotę mężczyzn, z butą trywialną pod boki się podparłszy, stało, rozmawiając niskimi, przeciąglymi głosami.

Słowem, cały szmat ciężkiej niemieckiej ziemi, nagle w jasną zieleni Wołynia wciśnięty i z zuchwalstwem się rozpierający. Jakaś szara smuga kamieni, dymu fajczanego, ciemnej tkaniny kobiecych spódnic, ponurych spojrzeń i ostrego gardłowego charkotu, pośród przepychu blasków i wonnej jasności letniej.

Coś, co nagle przed oczyma, jak chumrą, zamajaczyło i, nagle piersi tłocząc, dech tamowało...

Był to liść lopuchu, cicho rozkładający się na równiannie macierzanki i blado-liliowych dzwoneków, plama na strudze słonecznego światła, rozpadlina ciemna w aksamicie mchu skalnego.

Antoni konia popędził i szybko przez uliczkę Turemna przemknął.

Stojący przed resursą Niemcy obejrzeni się za jadącym.

— Horhasker!—wymówił jeden z nich, wrzuszając ramionami.

Inni pluli w milczeniu, usta na lewą stronę opuszczając, w tem ohydny skrzywieniu maski nałogowego palacza zakrzywionych fajek.

Wydostawszy się po za Turemne, Antoni biegu nie zwalniał, jakby chcąc się po za granicę posiadłości niemieckich jaknajprędzej wy dostać.

Pokrajana systematycznie w wązkie szmaty ziemia rozkładała się dokoła, zmęczona, wyciągając swe poszarpane do dna łono, z którego, jak z ran, płynęły ciągle soki, ssane ustami chciwości i jaknajwiększego zysku.

Na pozór uprawiana zupełnie poprawnie, miała w sobie bliźny ran świeżo niezagojonych, i w milczeniu zdawała się skarżyć na swą niedolę, ból i opuszczenie.

Wielkie, ciężkie teutońskie ręce, obrosłe włosiem i poprzecinane postronkami żył, przewracały te skiby bez miłości, rwąc brutalnie czarne, tłuste ciało ziemi, deptając ją grubymi podeszwami

swych butów, ssąc ją i dręcząc, aby wyzartą i wyschłą porzucić i pójść dalej, wlokąc za sobą stopy betów, gromady dzieciaków i ponure zniszczenie.

Gdy Antoni rów graniczny ujrzał, odetchnął swobodniej, i z rozpozgodzonym trochę obliczem na grunta Siemiatycz wjechał. Słońce teraz już wzbiło się wysoko, i jak wielka purpurowa plama na środku nieba świeciło.

Dzień był upalny, Antoni pot z czoła ocierał, starając się wybierać trochę zacienioną drogę, nurkując po pod gałęziami dzikich grusz, rosnących koło rowu.

Jakiś wóz, skrzypiąc, przejechał, koło niego.

— *Z widki?* *)—zapytał Antoni, zaciekawiony chudością koni.

— *Z Omelna!* — odrzyknął chłop, idący z batem koło wozu.

Antoni machnął ręką i uśmiechnął się pod wąsem.

Omelno—było jedną z wiosek pani Elżbiety. To wystarczało.

Konie mogły być jeszcze chudsze.

I nagle Antoni rozśmiał się serdecznie.

Przez umysł przesunęła mu się myśl małżeństwa Brunona z Elżbietą. Piękna para tych dwoje skąpców, śpiących na pieniądzach, drących się o każdy grosz lub kawałek szmaty, a tak bogato uposażonych!

Raz wpadłszy na tę myśl, zaczął się nad nią zastanawiać.

Dlaczego Brunon nie ożenił się z Elżbietą?

*) *Z widki* znaczy *skąd*.

dlaczego Szeniewiecki, ten hulaka, utracyusz został jej mężem? Wprawdzie na krótko, bo we trzy lata umarł, uwalniając od swego tabesu młodą, naówczas, kobietę.

Antoni słyszał to wszystko z opowiadań matki, którą zwykle dzieje „państwa” mocno zajmowały, znał więc dalsze losy pani Szeniewieckiej, jej rozwijającą się manię skąpstwa, odosobnienie, zaniedbanie, i dziewicze wdowieństwo.

Słyszał również o jakiejś długiej, nieskończonej miłości Brunona i Leontyny, ubogiej kuzynki Elżbiety, o tym romansie, przerwany brutalną interwencją Szeniewieckiej i szybkim odwrotem pana grafa, zadowolonego z przerwania tej długiej nici, zadzierzgniętej za życia mamy senatorowej i bez jej wiedzy.

Zapewne i w tem mogła być przyczyna, choć gdy szło o połączenie takich dwóch fortun, Brunon nie wahałby się przejść po sercu ubogiej kuzynki.

W każdym razie byłoby to śmieszne małżeństwo, i Antoni uśmiechnął się na myśl o tym monstualnym i wstrętnym związku. Tymczasem—koń sam, prawie niekierowany, zwrócił się na lewo, ominął ściankę lasu, wciskając się trójkątem w pole, i wydostał się na olbrzymi łąn żyta, na którym czerwieniały spódnice kobiet i bielaly koszule mężczyzn.

Całe rzędy zwróconych do drogi tyłem ludzi postępowały miarowym krokiem, schylając się wśród fal lekko pochylonego żyta. Od czasu do

czasu podnosiła się jedna postać i, ręce w górę wyciągnąwszy, sierpem w słońcu błyskała.

Około drogi gromadka Czeszek z kolonii, w żółtych chusteczkach, na brodach związanych, potrzasała żyto i składała je w równe zagony.

Po prawej stronie lan cały stał jeszcze nieknięty, szemrząc cicho i nakrywając złotem kłósów purpurę maków i szafir bławatków.

Tymczasem po lewej stronie szereg ludzi posuwał się tryumfalnie, kładąc u bosych nóg całe potoki szemrzącego złota, prezentując w dziwacznej skrótowej formie ciała, jakby zanurzone w masie żyta.

Tuż przy drodze, pod dziką gruszą, skarłała i skrzywiona, stał Bukowski, doglądający niby żeńców, a w istocie drzemiący w cieniu drzewa.

Staruszek miał kitel rozpięty, głowę spoczną i wargę obwisłą. Z kieszeni kitla wystawał filarek z tektury, oklejony bordiurką złotą i popryskany farbą dla imitowania marmuru. Mały wózek, zaprzężony w jednokonną szkapę, włóki się powoli za żeńcami. Na wózku siedziała właścicielka Siemiatycz, ubrana w olbrzymią pasterkę z zieloną woalką i okryta wigoniowym, brudnym szalem. Koń utykał wzdłuż bruzd i zagónów. Elżbieta, podrzucana na wózku, machała batem i pokrzykiwała ciągle, naganiając robotników do pracy.

Koń Antoniego, puszczony wolno, nagle się zatrzymał, czem zbudzony młody człowiek, cugle zebrał i żywiej jechać począł. Około rowu przydrożnego spostrzegł nagle postać kobiecą, idącą

w przeciwnym kierunku. Szara sukienka kobiety zlewała się w jeden ton z szarawą masą kurzu, podnoszącego się dokoła. Tylko pąsowa, perkalowa chusteczka, zarzucona na głowę, zapewne w celu ochrony się od promieni słonecznych kładła jaskrawą plamę w jednostajność barw.

Antoni konia popędził i z idącą się zrównał. Ona podniosła głowę i uśmiechnęła się przyjaźnie.

— Dzień dobry panu! — wyrzekła, zatrzymując się.

— Gdzie pani idzie, panno Maryo? — zapytał.

— Idę do Pustki. Ciocia mnie tam posłała.

— Po co?

— Zobaczyć, czy Jankłowa synowa tam jeszcze siedzi, czy się już wyprowadziła.

— I cóż?

— Siedzi jeszcze. Mówi, że chora, wynieść się nie może.

Antoni roześmiał się po swojemu.

— Ciocia nie będzie zadowolona.

Maryja ramionami wzruszyła.

— Zapewne, choć tak wielkiej krzywdy oni jej tam nie robią. Biedni są, aż przykro patrzeć. Żal mi ich, choć żydzi.

— Nie lubi pani żydów... dlaczego?

— Nie wiem, to już... wrodzone! — odparła z prostotą — wiem, że pomiędzy nimi są dobrzy ludzie. O! Szmul, ten nasz herszt koniokraków, dużo dobrego zrobił i w ciężkiej chwili nie jedną przysługę oddał, a jednak... jednak...

Antoni głową pokręcił.

— Aj, panno Maryo!... Panno Maryo!... jeżeli

pani czegoś uzasadnić nie potrafi, to już źle, źle bardzo.

Dziewczyna ciemne oczy na mówiącego podniosła; pod purpurowym daszkiem chustki, którą obiema rękami nad głową przytrzymała, wydawała się cała jakby obłana paśowym, migocącym blaskiem.

— Dlaczego?—spytała.

— Bo w głowie pani tyle porządnej logiki się mieści, że poprostu wyobrazić sobie nie mogę, aby z czegoś sobie sprawy zdać nie potrafiła.

Marya uśmiechnęła się smutnie.

— Przeceniasz pan to, co mam w mej biednej głowie. Ot! jeśli czasem zdaniem jakimś pana zadziwię, to dla tej prostej przyczyny, że po mamce mojej odziedziczyłam chłopski rozum. Pan go masz także, i to w niezgorszej ilości, tylko...

— Tylko?—podchwycił.

— Tak pan, jak i ja, jesteście jeszcze za młodzi, i dlatego wiele rzeczy, jak pan powiada, „upodstawnić” nie umiemy!

Antoni machnął ręką.

— Już ja tam wiele rozumu nie nabiorę.

— Zapewne! — zaśmiała się dziewczyna — skoro pan tak z odkrytą głową na słońcu stać będziesz, umrzesz młodo z przepalenia mózgu. Koń pana się niecierpliwi — dodała, głaszcząc łeb konia opaloną i zniszczoną ręką.

— Głodny!

— Pan także?

— Nie, tylko umieram z pragnienia!

— Skręć pan do Pustki, dadzą panu blażankę wody. Przyniosłabym panu trochę kwasu ogórkowego, który żeńcy piją, ale nie chcę, aby ciocia mnie wysłodziła. Lepiej, że nie wie o naszej znajomości. Skończyłyby się nasze poobiedzia wołochowskie. Nie ujrzałbyś mnie więcej w swoim uroczysku i obojgu nam przykroby było. Prawda?

— Prawda!—powtórzył Antoni.

Teraz ona, rękę na szyi konia oparłszy, patrzyła mu prosto w oczy, przytrzymując koniec chusteczki zębami.

On dłoń swoją szeroką, niekształtną, na jej ręce położył i z całą serdecznością w twarz dziewczyny się wpatrzył. Lecz nie było w tem spojrzeniu, tak z jej, jak z jego strony, najmniejszego cienia miłosnej pieśczoćoty, zalotnego starcia się dwóch płci pod promieniami letniego słońca.

Spokojnie, poważnie patrzyli na siebie, jak dwoje starych przyjaciół, gawędzących bezpiecznie o swych domowych stosunkach.

— Przyjdiesz pani w niedzielę do Wołochowa?

— Przyjdę!

— Ale z pewnością. Bo to ja przeczytałem Murdelia i są rzeczy, których ani weź zrozumieć nie mogę!

— Już ja panu wytłomaczę!

— A więc do widzenia!

— Do widzenia!

Uścisnęli się za ręce silnie, jak dwóch studentów, rozstających się na świąteczne ferye, obejrzeni się raz jeszcze na siebie, uśmiechnęli, i koń Antoniego ruszył z miejsca, wyrzucając z pod kopyt tumany czarniawego piasku.

Gdy Antoni w ścieżynkę do lasu skręcił, pomiędzy rzadkimi jeszcze skrajowemi drzewami, ujrzał małą, do ziemi przysiadłą karczemkę, nędzną, pochyloną, o jednym maluchnem okienku i drzwiach, lekko na zardzewiałych zawiasach się trzymających. Dokoła karczemki nie było nikogo i tylko krzaki szumiały, oplatające pnie pokrzywionych, szarych sosen.

Antoni pod samą karczemkę podjechał i, wstrzymawszy konia, w ciemną sionkę zajrzeć usiłował.

— Hop, hop!... jest tam kto?

Nagle w czarnem tle ramy stanęła młoda żydówka i, zaspane oczy podnosząc na Antoniego, zapytała:

— Czego?

Antoni doznał jakby olśnienia.

Miał przed sobą, na tem czarnem tle cuchnącej sionki dziewczynę wspaniale rozwiniętą, przepysznie zbudowaną, o malej, owalnej twarzy, obramowanej pękami czarnych, jak smoła, włosów. Włosy te, kręcone w drobne i grubsze zakręty spadały na czoło w formie krzywo uciętej grzywy i wily się po plecach, jak płaszcz z czarnych drutów skręcony. Olbrzymie oczy, zielonawe, troszkę zezowate, ocienione długą frendzlą rzes, przypominały oczy czarnej pantery,

zamkniętej w żelaznej klatce i o pręty łapę swą ocierającej. Opalona, czarna, z wargami spieczonemi, po-za któremi błyszczwały dwa rzędy drobnych zębów, miała w sobie urok czystej krwi rasowej, dochowanej przez wieki całe, bez domieszek krwi obcej.

Stała na progu, oparta jedną ręką o ramę drzwi, drugą założyła za pasek odstającej na wydatnych biodrach spódnicy. W uszach żydówki błyszczwały wielkie koła złotych paciorek na cienki drucik nawleczonych. Antoni wpatrzył się chciwie w czarny gąszcz włosów dziewczyny.

W tem otoczeniu leśnem, chmurna, złocąca się brązową, spaloną skórą ramion i rąk, wydała mu się zjawiskiem niezwykłym, pełnem dzikiego, niespotykanego wdzięku.

Żydówka podniosła na przybyłego wielkie, wspaniale oczy, jakby trochę zdziwione i mgłą jakąś pokryte.

— Pan, czego?—zapytała gardłowym, niskim głosem.

Antoni zmieszał się dziwnie.

— Wody... prosilbym!

Dziewczyna spojrzała nań przeciągle, głowę w tył przechylając, i, rzecz dziwna, Antoni uczył nagle, jakby ktoś go równocześnie ku niej popychał, siłą nieokreśloną pociągał...

Poprawił się na siodle i potrząsnął głową, jakby dla odgonienia czaru.

— Panienska będzie tak grzeczną i poda mi wody!

Panienska palcem na konia ukazała.

— Koniemu?—zapytała.

Czar prysnął.

Błąd zabił urok piękności. Wrażliwy temperament mężczyzny drgnął, jakby brutalną ręką szarpnięty.

— Dla mnie!

Dziewczyna wysunęła się do sieni i po chwili powróciła, niosąc w pogniecionej blaszance wodę. Dla podania naczynia zbliżyła się do Antoniego, ocierając się prawie o jego nogę. Dotknęła strzemięcia i stała tak przy nim, podnosząc w górę ręce, mokre jeszcze od świeżo naczepywanej wody.

Antoni uczył znów, że wdzięk tej dziewczyny go podbija i o błędzie zapomnieć każe.

— Dziękuję pani—rzekł.

Blaszankę próżną wyciągnął.

Ona—blaszankę ujęła, lecz nie odstępowała od konia.

— Jak pannie na imię?

Ona usta otworzyła, w uśmiechu zęby drobne ukazując.

— Trejne!

Milczeli znów chwilę i tylko w piersi Antoniego biło szybko serce, a krew do głowy nabięgała.

— Panienska tutejsza?

— Jankłowa córka.

— Wnuczka Szmula z Siemiatycz?

— Tak z Siemiatycz.

Chwilę nań popatrzyła, aż oczy jej w zezaszły i spytała:

— A pan z Horki?

— Znasz mnie?

— Znam. Nieraz pana widziałam, i loszadz też.

Z wnętrza karczmy doleciał przeciągły jęk kobiety.

— Trejne! Trejne!

Ona nie ruszała się z miejsca.

— Moja siostra chora—wyrzekła wreszcie—tak się rozdziera. Pan do domu?

— Tak, Trejne, do domu.

Nastąpiła znów chwila milczenia.

Trejne wzrok w oczach Antoniego wlepiała, a on nie odwracał już oczów.

— Panna tu... mieszka? — zapytał wreszcie urywanym głosem.

— Nie, ja tylko na czas bolenie siostry się tu przyładziłam. Jak ona umrze, albo ozdrownie, ja do taty wrócę.

Koń rwał się znów do drogi, niecierpliwie ziemię kopytem grzebiąc.

— Żegnam panienkę... za wodę dziękuję!

Czapki uchylił i chciał konia skrócić, lecz dziewczyna oparła się teraz całym swym ciężarem na boku konia i powoli poruszając głową, w oczy mu patrzyła.

— Pan tu nażrzy jeszcze? co?

— Zajrzę.

— Trejne mieć zawsze będzie dobrego słowa dla pana... Nu, niechaj pan jedzie!

Od konia się oderwała i, do sieni cofnąwszy, o ramę drzwi oparła.

Czarne włosy spadły jej na piersi ciężką masą. W oprawie drzwi, w otoczeniu zieleni posępnej, ponurej, stała tak ciągle patrząc na wolno odjeżdżającego mężczyznę, aż jej migocące źrenice ku sobie się skłoniły i w zez zaszły.

III.

Od samego rana pani Elżbieta miała humor na wskroś zdenerwowanej i niezadowolnionej z siebie kobiety. Dzień upalny, ociężały, pełen niepokoju, działał dziwnie na jej historyczne usposobienie. Wczoraj jeszcze po skończeniu żniw miała silny zatarg co do liczby snopów z Warką, która zawsze milcząca, podburzona przez Orchima stawiała się nagle przed gankiem rozgoryczona i kłótniwa. Pani Elżbieta, wstrząsnawszy głową, w flanelę owiniętą, odparła potok słów dobywających się z zapadłej piersi chłopki, niemniej wszakże ten bunt istoty wiecznie uległej i do kolan się ślaniającej był jakby zapowiedzią całego szeregu zuchwałstw, minujących od dawna tę gromadę pełną upartych, chytrych i dzikich prawie postaci.

Przytem teściowa Jankla ciągle pod pozorem choroby zalegała karczemkę w lesie i niepodobna było przymusić ją do opuszczenia tej pustki, do której nie zajeżdżał już teraz nikt ze względu na koniokradów, zbierających się o późnej nocy w tym zapadłym kącie.

Nowy arendarz na karczemkę znaleźć się nie mógł, odkąd banda Jankła objęła ten budynek w swoje posiadanie. Bano się Jankła, o którym niedobre dokoła krążyły wieści. Zresztą, od kilku tygodni na progu karczemki zjawiała się stara, jak grzyb, obszarpana i pomarszczona żydówka, która, podnosząc do zaczerwienionych powiek kilka zardzewiałych drutów, robiła z przerażającą szybkością pończochę.

Znaczyło to wiele. Przechodzący uśmiechali się lub kiwali głowami. Jankiel wynajął starą Ruchłę, wdowę po parczyku z miasteczka, aby mu próg „zasiedziała”. Wiadomo, co to znaczy takie „zasiedzenie”. Już teraz nikt się na karczemkę łakomić nie może. Gdyby ktoś chciał Jankłów podkupić i wyrugować, spłonie z całym swym dobytkiem, ot, po prostu, jak pudełko zapalek...

Szczegółów tych dostarczył Elżbiecie przy kolacyi Bukowski, pragnąc czemkolwiek przysłużyć się dobrodziejce.

Ten zubożały i do nędzy doprowadzony posiadacz ongi piętnastu „dusz”, osiadły teraz jako rezydent, usiłował ciągle stawać się użytecznym, płaszczący się, nędzny, sponiewierany w swęj biedzie.

W ciągłej gorączce zapracowania na chleb rzucany mu z łaski, chleb twardy, suchy i jak ość dławiący, zbierał drżącemi od starości rękoma smolaki porozrzucane dokoła kuchni, zgięty w pół szukał poziomki lub czernicy, gdy nadeszła pora

i znosił do dworu wszystkie wiadomości, jakie zasłyszał po drodze.

Dlatego to Elżbieta, chmurna i drżąca ze złości, zwlokła się o poranku niedzielnym z posłania. Przeliczyła się co do dni „lasowych”, chłopci odrobili przedź swą pracę i dzień jeden pozostał bezużyteczny. Mocą bowiem wieczystej ugody Elżbieta pozwoliła w lasach swoich zbierać chłopom poziomki, czernice, kamieniuchy, maliny, ożyny i grzyby, i wynosić je ze wsi na targ do miasteczka, lecz wzamian cała ludność Siemiatycz obowiązana była przez trzy dni pracować w polu bez zapłaty ze strony dworu.

Wieś szemrała czas jakiś, wola jednak pani była nieugięta: pochwymano zapaski babom, hładyszki i sita dziewczkom, wypędzono z lasu do breml kopnięciami ostro kutych leśniczych butów i powoli cała wieś zgięła kornie głowy. Płacono roboty za poziomki, jak za chrust, zbierany do latania plotów lub chlewów.

Tego roku wszakże pani Elżbieta, mająca prawo wyznaczyć dzień „darmochy”, przeliczyła się i pozostała z dniem jednym na czysto zżętych zagonach.

Teraz przemyśliwała, w jaki sposób odbierze od gromady swą należność.

Bała się opozycji.

W umowie najwyraźniej był wymieniony czas zniw. Szło teraz, aby zaprzędz wieś do zbioru siana, zwózki, lub częściowo użyć przy ozimieniu albo w sadzie.

Przecież dnia całego pani Elżbieta darować nie mogła.

Jak ślimak ze skorupy, tak powoli wysunęła się ze swej pościeli, narzuconej na wielkiej skrzyni drewnianej, zamkniętej na dwa wielkie i ciężkie skoble. Pościel ta składała się z kilku watowanych kolder, starego liberyjnego płaszcza i poduszki powozowej pod głowę wciśniętej. Po nad skrzynią wisiały palmy zeschłe, żółte, nabite puszystymi, szarymi kotkami i obraz Matki Bożej Ostrobramskiej żółty, bezbarwny niemal, otoczony dokoła wieńcami grzybów. Na wielkim haku tuż ponad głową pęk kluczy i świdrów. U stóp skrzyni cała kupa żelaztwa, gwoździ, podków, zębów od bron, połamanych grac i pokrzywionych a rdzą zjedzonych sierpów.

Na piecu, zajmującym pół alkierza, sterczał zbiór słoików, flaszek, lamp olejnych, blaszanek, pomiędzy którymi kurzem i brudem pokryte leżały dwie maluchne figurki z saskiej porcelany. Tu i owdzie zgnieciony, przedarty stary sztych angielski wydostawał się z pod ciężkiej masy brudno-czerwonego odłamku miedzi lub z połamanych podków i szufnagli. W kącie stare pruchniały grabie, szczerząc pokryte rdzą zęby na ciemnym tle ściany. Kilka słoików pijawek, ciemnych, skłębionych w brudnej wodzie, bieliło się pokrywą papierosów. Na ścianie rozwieszono szory, w kącie rzucone chomąta i stare siodła, spodnie nieboszczyka Szewiewieckiego żółte nankinowe, kilka cybuchów, książka Dunina, oprawna w skórę, trochę poszarpanych kalendarzy i kilka nu-

merów „Tygodnika Ilustrowanego”, stara miednica, cztery lub pięć ołtarzyków, lepionych ręką Bukowskiego, korowaj, jeden tom „pana Podstolica”, wieniec ślubny pani Elżbiety i cała masa rozmaitych sprzętów, gratów, odłamków, szczątków, pozbieranych ręką pani domu i porzuconych w ten ką, pełen kurzu, pajaków i śmiecia.

W pośród tej powodzi prawdziwej, w krótkiej flanelowej spódnicy, suto watowanej, zupełnie niezdecydowanego koloru, ukazując nabrzmiałe nogi, obciążone sukienkami pończochami, stała Elżbieta i drżącymi rękoma próbowała ułożyć naokoło czoła tak zwaną „kolej” z drobnych, silnie splecionych w warkoczyki włosów.

Robota ta szła jej niesporo. Palce drżały nerwowo, szyja nabrzmiewała. Elżbieta dławiała się poprostu własną wściekłością.

Noc całą nie spała, pragnąc do karczemki pośpieszyć i teściową Jankła za drzwi wyrzucić. Nad ranem usnęła i obudziła się wbrew swemu zwyczajowi dość późno.

Dreptała teraz po alkierzu, bijąc i kalecząc własne ciało, mszcząc się za te nędzne starania, które z łaski mu rzuciła. Każda flanela wrzucona, każda chustka na głowie zawiązana podwajała jej wściekłość, ostra tkanina podbudzała jej krew do szybszego obiegu.

Wreszcie ubrana zupełnie stanęła na ciemni alkierza, jakby wahając się chwilę. Spoglądała na rozrzucony barłóg, wreszcie ku skrzyni się rzuciła. Z pod poduszki wyjęła chustkę, w którą

związała całą garść banknotów. Na kółdrze watomanej przysiadłszy, banknoty na kupki dzieliła.

— Rubel, trzyrublówka, a tutaj dwadzieścia pięć — mówiła, rozprostowując brudny, szmaciany papier.

Wreszcie kółdrę z banknotami na ziemię zasunawszy, za klucze schwyciła i skoble odkręcać poczęła.

Z wysiłkiem wieko uniosła i, oparłszy je o ścianę, sama we wnętrzu skrzyni się pół ciałem zanurzyła.

Chwilę długą wisiała tak przez deskę przewieszoną, z rękami zanurzonemi w stopy pieniędzy, ułożonych porządkie na dnie skrzyni. Pleśń starego papieru i wilgotnych gałganów owiewała ją całą, ona woń tę chciwie piła, znajdując w niej ochłodę i uspokojenie.

Tak! tak—były tam wszystkie dochody z tych Siemiatycz, których pszenica rodziła się, jak nigdzie wokoło, a ziemia ciekła, zda się, tłustością czarną i pożywną.

Wszystkie dochody od lat trzydziestu, od chwili śmierci Szeniewieckiego, którego marnotrawstwo szarpało serce kobiety, leżały w tej atmosferze zgnilizny, przygniecione niejako ciężarem ciała Elżbiety, rozleniwiałego w przymusowem, a niewytłómaczonym wdowieństwie.

Zrażona w dziwacznej pojmovaniu małżeńskiego pożycia, znosząca z przymusem obecność męża, po powrocie z cmentarza, świeża jeszcze i pełna temperamentu pod welonem wdowy, za-

częła rozwijać w sobie zwierzę chciwości, dozwalając rozrosnąć się tej namiętności do potwornych rozmiarów. Dławiąc w sobie burzę krwi, zbierała grosz do grosza, wysysając z ziemi, co się ssać dało, nie ulepszając nic, z pomiędzy próchna łowiąc złoto, biorąc do pomocy żydów i Niemców, gdy sama już w pracy ustawała, lub zakątek ziemi odpoczywający znalazła. Cały burzliwy temperament brunetki i zmysłową żądzę dobrze zbudowanej i rozrosłej kobiety w szeleście rubli topiła, bezużyteczną kłodą będąc tam, gdzie dąb rosnać winien przy dębie, zdrów, cały, pełen soków pożywnych i strawy, aby stawić odporne czoło wichrom lub naparciu obcych żywiołów.

Cała w flanele i samolubstwo spowita, traciła formy kobiece i poczucie społecznych obowiązków. Jak Brunon, zasklepiona w brudzie i nieużytku, garnęła sześszące pieniądze pod siebie, a kładąc się co noc na wieku dobrze zamkniętej skrzyni, miała pozór starego psa, dogorywającego na wiązce słomy.

W milczącej kontemplacji pochylona, nie czuła teraz krwi bijącej jej wrzącą falą do głowy. Lat trzydzieści spędziła w tym cieniu zasnęta, rozwijając się w tłuszcz niezdrowy pomimo nędznego posiłku, jaki przyjmowała. Z tłuszczem razem rosła w niej skorupa egoizmu, oddzielającego jej duszę od walki w nędzy bliźnich.

— Każden dla siebie! — mówiła, ściągając kąciki wybladłych, drżących warg.

Obecność Bukowskich i Leontyny był to dla niej ciężar straszny i niewypowiedziany.

Maryę znosiła chętniej, widząc w niej siłę roboczą; patrząc na oficynkę, pieniała się ze złości.

Wygnać wszakże na rozstaje nie mogła, choć nieraz już i to uczynić chciała.

Gdy się od skrzyni oderwała wreszcie, granatowa była cała z krwi nabiegu. Szybko zaczęła zdierać flanele z głowy i rozpinać guziki kaftana. Raz jeszcze na dno skrzyni spojrziała i, powoli wieko zatrzęsawszy, do skobli się dobrała.

W tej chwili do zaryglowanych drzwi alkierza zapukano nieśmiało.

Elżbieta drgnęła.

— Kto tam?—zapytała.

Za drzwiami dało się słyszeć szeptanie.

Elżbieta na skrzyni przysiadła, jakby skarbu swego broniąc. Z małego, zakratowanego okienka promień słońca wprost bił jej w oczy, złocąc bladą twarz kobiety.

— Kto tam?—zapytała powtórnie.

— To... my, siostruniu.

— Czego?...

— Z powinszowaniem.

— Ki czort?

— Dziś... urodziny siostruni!

— Urodziny dobrodziejki!

Elżbieta ramionami wzruszyła i szybko ku drzwiom alkierza podeszła.

Ręką silną jeszcze skobel szarpnąwszy, do

sali jadalnej się wsunęła i drzwi starannie za sobą zamknęła.

Tuż przy progu, Leontyna, jeszcze bledsza i mizerniejsza, niż zwykle, stała z rękoma wzdłuż bioder obwisłemi. Obok niej Bukowski, trzymający w ręku nowy, złożony z filarkami ołtarzyk i Bukowska gniewna, zacięta, darmo wiecznie oponująca i niezadowolona.

Koło stołu stała Marya z rękawami zawiniętymi po łokieć i przesuwiała całą masę suszonej herbaty, rozpostartej na kilku arkuszach papieru. Z pewnym odcieniem ironii spoglądała na grupę ludzi, stojącą koło progu alkierza. Gdy ciotka ukazała się we drzwiach, Marya na chwilę roboty swej zaprzestała i, oparłszy ręce o krawędź stołu, patrzyła.

Elżbieta szybko odsunęła całującą ją w ramię Leontynę.

— Cóż was dziś ukąsiło?

— Toż narodziny, serce, siostró, Elżusiu!

— To i cóż stąd?

— Feta rodzinna.

Elżbieta ramionami wzruszyła.

— Także... wybrali się z gratulacyami, kiedy mnie dyabli wprost biorą! Czy wy nie wiecie, że mi torby grożą przez te parszywe bestye? Urodziny! ta i cóż z tego? Czegóż winszować? takiej nędzy i turbacyi jak moja?... Im pstro tylko w głowach świta; nie widzą, że ja łbem o ścianę walę i ot, zda się, co chwila duszę wyzionę!...

Pod boki się podparła, rada, że folgę dać może złości, która ją dławiała.

— Wam dobrze do góry brzuchem leżeć, ta o jutro się nie troskać, kiedy to ryż i stokfisz do gęby spada, ale ja sama ledwo koniec z końcem zlatam i opędząć się muszę naokoło, jak ten dzik, przez ogary za uszy ciągniony!... Ta idźcie do dyabła z waszą gratulacją, mam ja tu lepsze wiązanie, kiedy o karczmie i tym psubracie Janklu pomyślę! Ale dziś już z niemi skończę i na Matkę Ostrobramską klnę się, jak nie poduszę, to lby poukręcą!

Ręce w górę podniosła, głos jej charczał w gardle, Leontyna odsunęła się, patrząc w ziemię, Bukowski rękę z ołtarzykiem wyciągał, nie zważając, że żona z oczyma leż pełnemi, schwycałszy go za drugą rękę, paznogie mu w ciało wpijała.

Elżbieta szybkim ruchem rękę Bukowskiego odepchnęła.

— Na czorta mi jegomość klecisz te bawidelka! Lepiej było w polu dobrze ludzi doglądać, nie drzemać pod gruszą... ot, co!

Starzec głowę spuścił i, na bok się usunąwszy, wolne przejście dla Elżbiety zostawił.

Jak huragan przesunęła się przez salę jadalną, rzuciwszy pełnemi złości oczyma na spokojnie o stół opartą Maryę.

Koło progu będąc, zatrzymała się chwilę.

— Herbatę po ziemi sypiesz!—zawołała, wyciągając rękę.

Lecz dziewczyna uśmiechnęła się lekko.

— Przecież ja nie składałam ci życzeń, ciociu, czego więc chcesz odemnie?

Głos jej brzmiał spokojnie zupełnie, oczy patrzyły pogodnie w nabrzmiałą twarz Elżbiety.

— Zawsze masz zuchwalstwo w odpowiedzi—mruknęła Elżbieta i, szarpnąwszy gwałtownie klamką, wybiegła do sieni.

W sali zapanowało głuche milczenie. Leontyna przysiadła na krzeselku i szybko oczyma mrugać zaczęła. Bukowski stał oparty o ścianę, z wyciągniętą ręką, w której bielili się ołtarzyk, prawdziwe arcydzieło cierpliwości i pracy. Bukowska, puściwszy rękę męża, atak złości spędzała na zielonej pelerynce, rwąc szybko frendzle z długiego jedwabiu. Marya, pracę swą skończywszy, wzrokiem po tych ludziach powiodła i w energicznym jej sercu wzbudziła się litość wielka dla tych niedołącznych i sponiewieranych istot.

— Czemu ciocia znów w tym roku rozpoczęła swe powinszowania? — zapytała, zwracając się ku Leontynie.

Stara panna podskoczyła, jakby na sprężynach.

— Jakże chcesz, serce, duszko, Maryniu, aby w dzień imienin z komplementem nie przyjść... Wreszcie, ja nie chciałam już szczęścia tentować; to pani Bukowska zaopiniowała, że to rzecz nieodzowna.

Bukowska wargi wydeła.

— Wychowano mnie w tych pryncypiach —

odezwala się pompatycznie — mankować konwensansem i sawuarwiwrowi nie mogę!

Za oknami zaszumiało gwałtownie. Marya podniosła głowę i w sad spojrzała. Wiatr gałęzie gwałt i ku ziemi chylił.

— Burza będzie niedługo — wyrzekła — trzeba bieliznę z płotów pozdejmować. Chodź, ciociu.

Ale Leontyna twarz w dłonie ukryła.

— Burza!... o, Boże miłosierny! — wyjąknęła — pioruny... gdzie się chować? gdzie?...

Marya zaśmiała się wesoło.

— O! ty, mały tchórz! — wyrzekła; potem, zbliżywszy się do okien i, zamykając je powoli, wciągała z rozkoszą w siebie tę woń przedburzową, gorącą i pełną tajemniczych zapachów i szmerów.

Bukowska ku drzwiom zmierzała.

— Idę do siebie... *imaże* święte w okna powstawiać. Pannie Maryi radzę to zrobić także!

Marya pokręciła głową.

— A choćbym chciała, ani rusz takich konduktorów tu nie znajdę... W całym domu obrazka ani poświęć.

Bukowska zmrużyła oczy i ironicznie się uśmiechnęła.

— Naturalnie — wyrzekła, za klamkę ujmując — tu rubel zastępuje Najświętszą Pannę Loretańską! Rubell!... radzę ruble na oknach ponalepiać!

— Monsieur Bukowski! suivez moi!

Monsieur Bukowski od ściany się oderwał i wśladał za żoną podążał.

Mijając Maryę, rękę ku niej z ołtarzykiem wyciągnął.

— Może pani raczy go wziąć, skoro dobrodziejka wzgardziła — wykrztusił nieśmiało.

Lecz już żona skoczyła ode drzwi i chwytając ołtarzyk w suche i kościste palce, szybko filarki łamać zaczęła, rzucając tekturę i złote figliki na ziemię.

— Non! non!... — zawołała — kiedy ominęła destynacya, niech lepiej szczeźnie. Tak chcę!

Wyprostowała się i dumnie mantylkę pociągnęła.

— Monsieur Bukowski! suivez moi!

Starzec powłókł się do sieni, oglądając się z żalem na strzępy swej nocnej, forsownej dżubany.

Skoro drzwi się za małżeństwem zamknęły, Marya wzruszyła ramionami i, przykląkwszy na ziemi, sprzątać zaczęła.

— Waryatka! — wycodziła przez zęby.

Leontyna poruszyła się niespokojnie.

— Serce, Marysiu, źle o niej sądzisz: nie waryatka to, tylko arystokratka. Hetmanównę Wyhowską ma w rodzie i z llinem spokrewniona. Co chcesz?

— To nie przeszkadza, droga ciociu, że ma stanowczo małego szusa w głowie!

— Ot, nieszczęśliwa!

— Któż jej winien?

— Bóg raczy wiedzieć. Panna z wysokiego

rodu poszła za takiego, co na piętnastu duszach siedział. Teraz jej ciężko przywyknąć do takiej poniewierki.

Maryja brwi zmarszczyła.

— Któż jej każe poniewierkę znosić? — zapytała z ziemi powstając — na chleb jeszczeby pracować mogła, o, jeszcze lat kilkanaście!

Leontyna szeroko oczy otworzyła.

— Serce, Maryniu, pracować? służyć? taka, co ma hetmanównę Wyhowską w rodzie? Co tobie dziś się stało?

— Nie dziś, ani wczoraj — znasz mnie od dziecka i wiesz, jak się próżniactwem brzydzę. Gdyby nie to przeświadczenie, że pracuję tu ciężko i cały ład domowy na plecach dźwigam, to nie spałabym ani jednej nocy pod tym dachem! Gdy siadam do obiadu, wiem, żem nań uczciwie zapracowała temi oto dziesięcioma palcami!

Śmiejąc się, wyciągała swe opalone, ale kształtne i smukłe ręce ku siedzącej ze zwieszoną głową kobiecie.

— Łatwiej mi przez to znosić ciężkie obejście ciotki, bo gdy ona w rozdrażnieniu mówi o darmozjadach, to ja tego do siebie nie biorę. Ja chleba tu nie jem darmo: ot, pracuję na swą ordynaryę ciężej od każdego parobka. Wolę jednak tu pracować u swoich, niż cudze kąty wycierać, choć w potrzebie nie ulęknę się niczego!...

Leontyna westchnęła ciężko.

— U swoich! — szepnęła zdławionym głosem — u swoich!... A toż i ja służyłam, jak ty

dziś, u siostry Elżbiety! Młodą i świeżą pracować tu zaczęłam. Krzątałam się tu dzień cały Szwagier nazywał mnie mrówką, tak wszędzie! znać było moją drobną pracę! Nie czyniłam wprawdzie tego, co ty czynisz, serce, ale smażyłam konfitury, drelowałam agrest, ścierałam kurze, gości grą na szpincie bawiłam, a często gęsto koronki siostruni na butelce wyprałam! Zdrowia było nie wiele, i tę odrobinę straciłam, a dziś!... Żal pomyśleć, na co ja tu zdalna. Ot!... gdyby nie święta wiara i jeszcze jeden węzeł, co przy ziemi trzyma, toż śmierci-by życzyć przyszło, nic więcej!... nic więcej!...

I dwie łzy, z pod powiek jej zaczerwienionych spłynąwszy, powoli po bladych policzkach toczyły się zaczęły.

Maryja, do kolan jej przypadszy, za ręce ją ujęła.

— Aj, ciociu!... I pocóż wspominać dawne dzieje, skoro się nie wrócą. Energii trochę, siły! Leontyna uśmiechnęła się smutnie.

— Energii? siły? — powtórzyła. — Oj! nie miałam jej nigdy, przez to mi życie złamali i na wieczny smutek skazali. Żebym ja wiedziała, co to znaczy wyraz „siła“, nie siedziałabym teraz, na stare lata, jak żebraczka, na łasce siostruni!

Ożywiała się stopniowo. Zawiedła jej twarz pokryła się ceglastermi plamami.

— Siła! — zaczęła znowu — toż to, serce, słowo niby drobne, ale trzeba mieć odwagę nie lada, aby ją ze siebie wydobyć. Ja, nieraz, gdy mi wielką krzywdę czyniono, wiedziałam, że po-

winnam się postawić i bodaj pazurami tego, co moje, co serdeczne, co kochane... obronić, ale cóż!... kiedy wszystko się w proch rozsypywało, jak tylko siostrunia powiedziała swoje: „chcę!” O!... ona!...

Drżącą rękę do góry podniosła i z dziwnym akcentem w głosie powtórzyła raz jeszcze:

— Ona!...

Grzmot oddalony zahuczał nagle, gałęzie lip, kołysane wiatrem, o szyby zadźwięczały.

Leontyna głowę w ramiona skurczyła.

— A Słowo stało się ciałem!—wyszeptala.

Marya od kolan jej się porwała.

— Bieliznę zebrać muszę, zanim burza nadciągnie! — zawołała.

W tej chwili żółtawa jasność mignęła gzygzakowato, w kilkanaście sekund łoskot nierówny spadł gniewnie jak huk oddalonego działa.

Leontyna za suknię Maryę porwała.

— Nie odchodź! nie odchodź!—prosiła.

Marya uśmiechnęła się z litością.

— Muszę, chodź ze mną, ciociu!...

— Piorun mnie zabije!...

— Nic ci nie będzie, chodź prędko.

— Bukowska się pewnie izolowała, szczęśliwa! ma tyle szklanych kawałków! Mąż jej ulepił kłoszyk, pod którym siedzi. Widziałas, serce?

— Widziałam, ale śpieszmy się, bo lada chwila deszcz zacznie padać!

Szybko wybiegły obie na ganek.

Przeciąg wrywał im klamkę z rąk i drzwi zatrzaskiwał z halasem.

Na dziedzińcu—ciemnawo, szarawy panował

ciem; rumianki i macierzanka pelzały przy ziemi, drzewa gięły się z szumem, tuż przed gankiem w zawrotnym wirze kręciło się trochę wiórów i jakiś list podarty na strzępki. Na płocie dokoła domu rozkładały się białe szmaty bielizny. Koło nich Władysława, ze spódnicą, podniesioną powyżej kolan, w butach i z gołą głową, szamotała się z wiatrem, rzucając na ziemię mokrą masę płótna.

Marya szybko, jak strzała, pomknęła do płotu i, wyjąwszy szpilkę ze stanika, sukienkę swą podniosła i z tyłu zapięła. Na ciemnym tle płotu, błyskała teraz różowa podszewka jej świątecznej sukienki, jak plama jaskrawa wśród ponurych szarych barw przedburzowej chwili.

Leontyna, obiema rękoma przytrzymując spódnice, przez łan rumianku dreptała ku obydwom kobietom, zbierającym porozwieszane koszule, spódnice, czepek, prześcieradła, kaftany, przytrzymywane przez kolki i chrust, a podrywane wiatrem.

Teraz całe niebo zaciągało się powoli skłębioną masą chmur, które na zachodzie zlewały się w czarniawo-fioletową całość. Na wschodzie widniał jeszcze mały szmat błękitnego nieba, otoczony dokoła pierzastymi, białawymi obłokami. Obłoki te łączyły się już z chmurami, które swe groźne, brzemienne cielska powoli w przestworzu suwały, od czasu do czasu rozdzierając swe wnętrza, aby zdaleka, prawie na nieboskłonie, mignąć wspaniałą purpurą, nażyłkowaną czystą złotą siecią.

Kilka jaskótek upadło na dziedziniec i, zataczając coraz niższe kręgi, dotykało w przelocie niemal włosów kobiet. One pracowały szybko, chłodząc rozpalone ręce w mokrych faldach bielizny. Od czasu do czasu Marya podnosiła głowę i spoglądała w górę, uśmiechając się do groźnej, czarnej masy, zawisłej, hen, wysoko nad jej drobną głową.

Tymczasem, błyskawice stawały się coraz częstsze, gzygzaki płomieniste przebiegały równolegle z chmury do chmury, jakby niepokojąc się i przygotowując do walki.

Od strony lasu dolatywał szum przeciągły, krzaki gięły się, zamiatając gałązkami ziemię, zżęte i lyse pole miało na swej żółtawo-szarej przestrzeni odbłyски drżenia podskórnego; tylko krzyż stał spokojny i nieruchomy wśród szalejących gałęzi lip, tylko stara topola, dawno piorunem roztrzaskana, ofiarowywała swe bezlistne, rozdarte łono, jak Niobe już w najcięższym bólu milcząca.

I na chwilę uspokoiło się nagle wszystko, a ciężka, ołowiana zapanowała cisza.

Jaskółki znikły pod dachem dworu, czepiając się nerwowo wystających belek, i tylko na górze od zachodu migwały ciągle purpurowo złote blaski, odcinając się oślepiająco na granatowym tle nieba.

Władysława przerzuciła przez plecy zebraną bieliznę i, migając nagiemi kolanami, biegła szybko ku kuchence.

Leontyna przysiadła na ziemi, zasłaniając

drżącymi rękoma twarz ze strachem pobladła. Tuż koło niej przemknął żółty kot, jeżąc sierść i migając zwięzonymi żenicami.

Marya oparła się o plot i wprost przed siebie patrzyła, znajdując rozkosz w tej kąpieli niepokoju, jaki zdawał się przejmować całą atmosferę. Po nad drogą unosily się kłęby kurzu i szybko przeturkotał wózek, w tumanach piasku ukryty.

W otworach poddaszach oficynki migła ręka Bukowskiego, zabijającego goździkami małe tarciczki dla uniknięcia przeciągu. Chwilę przed domkiem zamajaczyła Bukowska, żegnając cztery strony świata trzymanym w ręku krzyżykiem.

Wiatr spódnice jej rozwiewał i zdzierał z pleców mantylkę... Zagrmiało silniej. Bukowska, machnąwszy raz jeszcze krzyżem, uciekła, trzaskając drzwiami.

Nagle Marya wzrok od ciemniejącego horyzontu oderwała.

— Ciociu—zapytała z niepokojem—czy nie wiesz, gdzie ciotka Elżbieta poszła?

Leontyna ramionami wzruszyła.

— Bóg ją raczy wiedzieć, serce, Maryniu— wyszeptala—nie widziałam.... pojąć nie mogę.

Marya potarła czoło.

— Ale ja się domyślam — wyrzekła, brwi marszcząc—do karczemki Janklowej poszła; mówiła o tem wczoraj, że dziś rano z żydami koniec robi. Iść tam musiała!

— Jezus, Marya! — zajęczała Leontyna — też

zginie siostrunia w taki czas, w gąszczu i między choinkami, co to pioruny w siebie ciągną.

Marya poruszyła się niecierpliwie.

— Ha! no, to iść po nią muszę — wyrzekła stanowczo, i szybko spódnice sukni podniósłszy na głowę, koło twarzy sobie zapinać poczęła.

Leontyną porwała ją za fałdy sukni.

— A ja? a ja? — pytała płaczliwym głosem.

— Ty, ciociu? pójdziesz do siebie, zapalisz firanki, zapalisz świecę i czekać będziesz zmiłowania Bożego — odparła Marya, przez płot przeskakując — ja biegnę, nie mam chwili czasu do stracenia.

Znalazłszy się na drodze, dziewczyna oczy od kurzu ręką osłoniła i, pomyślawszy chwilę, wprost pole przecinać zaczęła. Za każdą błyskawicą mimowoli mrużyła źrenice, wpatrując się teraz w ciemną ścianę lasu, ku której zmierzała.

Gorący wichur podrywał jej odzież, siekąc nogi badyłami ostów. Całe kłęby gorącej, wilgotnawej pary opadały teraz ku ziemi, wlokąc się powoli przez gałęzie drzew. Las szumiał potężnie, jakby całą gamą szatańskiego śmiechu, który w jęk przechodził. Gałęzie krzaków ze świstem na ziemię się kładły, aby za chwilę poderwać się gwałtownie razem z tumanem zwiedłych liści i masą drobnych gałązek. Po pniu zwałonej sosny skakało w drodze do swych kryjówek całe stado wiewiórek, machając puszystymi ogonami.

Marya przedzierała się prosto przez gąszcz, pozostawiając po za sobą wydeptane ścieżki, po których wichur szalał, jak fala, znajdująca prze-

kopane kanały. Rękoma twarz zasłaniając, z naprzód podaną piersią, deptała dziewczyna suche badyły i poplątane osty lub smukłe leszczyny. Chwilami krzak cały bodiaków chwytal dół jej spódnicy, jak w szpony, aż szarpać musiała gwałtownie i odrywać liliowe kolczaste kulki od szaro-zielonych badyli.

Ziemia, sucha i spieczona, zdawała się pękać pod pokryciem mchu zczerniałego. I tylko cała masa sosen masztówek wznosiła swe proste, nieruchome pnie, wierzchami zda się chmur olwianych sięgając. Stały tak rzędami, nieugięte, opuszczając ku dołowi czarny baldachim gałęzi, na których delikatne igły drżały...

Szum lasu powoli przeszedł w ryk — jakby ten olbrzym prastary gniewał się na niepokój, który z ogniem i hukiem po nad nim ciężył i spokój mu zakłócał. I ryk ten mieszał się z odgłosem grzmotów, które coraz częściej nierównym, porwanym turkotem w gąszcz czarną spadały.

Teraz — purpura i złoto wpadły nagle w ciemnicę leśną i migwały olśniewająco pomiędzy pniami, zataczając srebrno-złote gzygzaki. Marya mimowoli oczy zamykała, nie mogąc znieść tych oślepiających blasków. Spokojna, lecz energiczna, natura dziewczyny nie lękała się ryku i świstu burzy, wreszcie myśl o spełnieniu obowiązku górowała w niej ponad wszystkim. Obowiązek nakazywał jej iść w ślady ciotki i starą tę kobietę przed burzą możliwie ochronić. Jak puklerz przed sobą — niosła to słowo i niem się od twrogi bronila.

Stała chwilę, pragnąc rozejrzeć się wśród gąszczy i zmiarkować, czy daleko się znajduje od Jankłowej karczemki, lecz nagły prąd wiatru cisnął ją o pień sosny. W tej samej chwili purpurowa luna oblała dokoła krzaki i prawie równocześnie straszny łoskot wstrząsnął nią całą. Rzuciła się naprzód, nieprzytomna, wyciągając ręce i, okręciwszy się dwukrotnie, do ziemi przysiadła...

Gdy po krótkiej chwili otwarła oczy, z wysiłkiem najwyższym ze mchu się podniosła, rozgniatając płonią jakąś porzuconą na ziemi i napół napełnioną jagodami krobeczkę.

Zdawało jej się, iż naokoło głowy ma obręcz metalową, ściskającą skronie, w uszach huk dzwoniący, ciągly i jakąś żelazną rękę, ściskającą jej gardło.

Stanąwszy na nogi, zachwiała się kilkakrotnie i, czepiając się krzaków, powlokła się dalej; nagle stanęła z oczyma szeroko rozwartymi, pełna grozy i trwogi przed obrazem, jaki się jej oczom przedstawił.

O kilkaset kroków od niej, na brzegu łysej i wyżartej polanki, jak słup ognisty ku niebu sterczący, płonęła sosna napół z gałęzi ogolona. Na czarnem tle lasu wstęga ognia odcinała się ostro, oslepiając purpurą, przecinana złotymi żyłami. Trochę ptactwa krążyło dokoła, z niepokojem szukając nowego schronienia.

Wiatr zawił silnie, deszcz iskier po lesie spiąc. Purpurowa wstęga pochylila się i rozpadala teraz na cale setki płonących żużli, zapalając

krzaki i cienkie sosenki dokoła rosnące. Tu i owdzie migaly na gałęziach płomyki, dym płasko rozpościerał się nad wierzchami i po gałęziach rozwlóczył. Las zaryczał z wściekłości, jak zwierzw w czoło zraniony i sosny poruszyły się niespokojnie. Tymczasem sosna płonęła, rzucając żarzące iskry dokoła, u jej stóp buchało morze drobnych, urywanych płomyków, liżących spieczoną ziemię polanki. Zwalona wichrem, nawpół spróchniała choina, cały grzbiet miała zapalony, a małe gałązki opadały dokoła, jak cienkie ogniste węże...

Trzask suchy, urywany łączył się teraz z bolesnym chychotem lasu, cale masy liści z gałęzi wyrwanych przebiegaly polankę, gnane silą wichru i wpadały w stos płomieni.

Marya stała teraz niezdecydowana, nie chcąc iść przed siebie z obawy pożaru, lękając się, czy nie zabłądziła, idąc tak bez pamięci pomiędzy gąszczem leśnym. Calej plecy pokryte miała potem i z trudnością najwyższą władała członkami. Senność ogarniać ją zaczynała, senność, której sobie wytłomaczyć nie mogła. Razem z uderzeniem piorunu zdawało się jej, że ktoś odebrał jej całą silę i energie. Iść dalej pragnęła, a mimo to, jak zahypnotyzowana, patrzyła w siatkę płomieni, które powoli zaczynały obejmować całej brzeg polanki, liżąc wyniosle pnie sosen ognistymi wstęgami.

I nagle po za ścianą purpurowych płomieni z łoskotem i krzykiem ukazała się postać kobiety, wlokącej za sobą całej płaszcz czarnych jak noc

włosów. Kobieta owa stanęła chwilę, poczem zebrawszy włosy w jeden gruby węzeł, a spódnice, dokoła nagich nóg opiąwszy, jak zwierzę szybka i zwinna w trzeszczące badyle wpadła i przez drobne płomienie przeskakując, na polankę się wydostała.

Marya, z oczyma szeroko rozwartemi, zjawisku temu się przypatrywała i gdy to w pół nagięciem ciemno-brązowe ciało z purpurą płomieni się łączyło, wyciągnęła nagle ręce, jakby ratować pragnąc. Lecz smukła postać mignęła szybko, ostro zarysowując pełne kształty na złotem tle ognia i w tej chwili kobieta opuszczała już krótką spódnice, a włosy pokudłane, czarne, spadły jej na pierś ledwo okrytą i ciasny, brązowy kaftanik rozsadzającą.

Marya zbliżyła się teraz do tej kobiety, tak nagle z po za ognistej ściany ku niej dążącej.

— Hej!... kobieto!... a chodź no tu! chodź, prędzej!

Kobieta szybko falę włosów brudnemi rękoma odgarnęła i na Maryę spojrziała.

— Ha?— zapytała.

Głos jej był gardłowy, dziki.

— Daleko do karczmy Janklowej?

Kobieta kilku susami znalazła się obok Maryi.

— Ondzie! — wyrzekła, w las palcem wskazując.

Zaczęła iść, skacząc wśród krzaków. Szamotała się z niemi i z wiatrem, od czasu do czasu charcząc gardłowo, a przed błyskawicami ocz

nie spuszczać. Czarna fala włosów, w których poprzyczepiane tkwiły bodiaki, biegła za nią, odskakując od bioder, ledwo podartem płótnem spódnicy okrytych.

Marya, wzrokiem po tych biodrach i masie włosów powiódłszy, poznała Trejnę, córkę Jankla, i szybko ku niej poskoczyła. Trejne wracała pewnie do karczmy, a chowana w lesie, jak dziki zwierz, nawet przy świetle błyskawic i przy huku grzmotów, do legowiska swego trafić musi.

I zaczęły teraz iść razem, torując sobie wspólnie drogę, krwawiąc sobie ręce i parząc nogi o ziemię rozpaloną. Żydówka szła pierwsza, twardą swą pierś przecinając poplątane krzaki, z łozem hardo ku górze wzniesionem, dzika, naga, przepyszna; cała, zda się, skąpana w gorącu i złocie. Żar, który ją otaczał dokoła, zdawał się wypływać z jej ciała, którego doskonałość na czarnem tle lasu rysowała się harmonijnie, a grzmot huczący w pobliżu towarzyszył łoskotowi jej stóp bosych, brązowych, od kostki prawie czarnych, z palcami krogulczo podwiniętymi.

Słyszac szelest za sobą, obejrzała się, a ujrzawszy Maryę, stanęła.

— Wy gdzie?— zapytała.

— Do was!

— Do karczmy?

— Tak.

Popatrzyła chwilę nieufnie z pod masy gęstych włosów.

— Śladujcie! — wyrzekła wreszcie, znów w gąszcz się zagłębiając.

Marya, znużona, potem oblana, szła już teraz jak automat, wciąż w czarną falę włosów Trejny wpatrzona. Przez ciemne sklepienie sosen przelewały się od czasu do czasu złote strugi i kładły na chwilę purpurowe blaski w tę masę potarganych włosów. Trejne migła wtedy krwistą purpurą jak leśne wpeł dzikie zjawisko, w świetle piorunów ujrzone.

Marya mimowoli ręce ku piersiom przyciskała. Sądziła się zawsze silną i pełną energii i hartu. Trejne, idąca wśród huraganu, tumanów kurzu, wycia wichru, ryku rozwścieczonego lasu i osłepiających błyskawic, niewzruszona, harda, pełna jakiejś pogardy dla szafu przyrody, wydała się w oczach Maryi... dziewczyną z brązu wykutą, pyszną olbrzymką o cygańskich oczach i twardej piersi, jakby wyzywającej szyderczo ogniste węże dokoła latające.

Teraz wzrok Maryi, jakby hipnotycznie do Trejny przykuty, już się od postaci żydówki oderwać nie mógł. Czuła, że wola jej słabnie i głos jakiś za śladem nóg czarnych, o złotawych polyskach, iść każe. Wlokła się drogą przez żydówkę przedartą, wlokła się, oddychając ciężko. Gałęzie za ciałem Trejny się zamykające, siekły twarz Maryi, płacząc i wydzierając jej włosy. Ona nie broniła się, jakby zmuszona przyjmować tę chłostę, którą nagie ręce Trejny po za siebie rzuciły. Cała jej słaba strona duchowa objawiła się teraz w chwili osłabienia ciała. Straciła wolę i świadomość możliwości własnej obrony. Wlokąc się za płaszczem rozczochranych włosów żydówki,

już nie zamykała oczu przed gorącym blaskiem błyskawic, otwierała je szeroko, chłonąc w siebie kontury idącej przed nią dziewczyny, która, jak demon, co chwila purpurową oblewała się barwą.

Nagle, osłepiająca, prawie biała, rozlała się dokoła światłość. Ryk jakiś, dziki, straszny, zawirował w powietrzu. Trejne zdawała się płonąć cała, jak gorejąca pochodnia. Głowę w górę podniosła, jakby ją pod spadający grom poddając. Z gardła jej wybiegł zwierzęcy, dziki krzyk. Skąpana w blaskach i piekielnych tonach, na tle gnących się ku ziemi gałęzi, stała niewzruszona silnie oparta na swych z brązu zda się wykutych stopach. Tylko purpurowe usta w uśmiechu rozwarła, charcząc niezrozumiale.

Marya przez sekundę jedną krwawe to zjawisko w siebie wchłonęła i pod wrażeniem ryku gromu, na ziemię upadła, twarz kryjąc w rozpalone dłonie.

Gdy zmysły odzyskała, siedziała oparta o pień drzewa, a przed nią na mchu przyklekła Trejne, z ciekawością się w nią wpatrując.

— Co wam? — zapytała, widząc, że Marya powoli otwiera zamglone oczy.

— Nic... już przeszło...

Dziewczyna podnieść się usiłowała. Trejne podała jej rękę.

— Usprzyjcie się.

Marya dłoń Trejny ujęła.

— Dziękuję ci!

Podniosła się z trudem, uśmiechając się na

myśl, że to już po raz wtóry upada na mech, kalcząc się o pniaki i obalone gałęzie.

Sądziła się o wiele silniejszą, tyle przecież ciężkiej roboty wykonywała w domu ciotki, wychowana ostro, wśród obcych, nie знаła pieszczoty ciała. Dziś uczuła, że zrównać się nie może z tą wpół nagą dziewczyną, w blaskach gromu uśmiechniętą.

— Chodźmy!

Posuwały się teraz razem, chrześciana, oparta o silne ramię żydówki, która nogami krzaki kopala z jakąś zawziętością niezwykłą.

Marya szła, przelykając ślinę i czując dziwne gorąco, płynące z ciała Trejny... Ramię, które ją otaczało, piekło ją prosto żarem, cały bok, do którego żydówka ciałem swem się dotyka, miała rozpalony, jakby od dotknięcia gorącej blachy.

Ręka Trejny od czoła Maryi odgarniała gałęzie.

Na czwartym palcu żydówki migał pierścienek niewielki, w kształcie węża z rubinowem oczkiem. Marya, mimowoli, wzrok swój w ten pierścienek utkwiała.

Widziała go przecież i to widziała jeszcze niedawno. U kogo? Kto nosił przedtem ten zczerniały i zniszczony klejnocik?

W jaki sposób znalazł się na palcu tej dziewczyny?

I nagle przed umysłem Maryi zaświtała prawda. Ten wąż z oczkiem rubinowem był do niedawna własnością Antoniego.

Widziała go nieraz na palcu posesora, gdy w popołudnie niedzielne siedzieli razem na uroczysku wołochowskim, czytając lub wiodąc rozmowy.

Tak! tak, nieraz o zachodzie słońca, gdy z nad Styru zaczęły się unosić sinawe opary, a niebo mieniło się barwą opalu, Antoni ujmował jej rękę w swe szerokie dłonie i tak, milcząc, w dal, przed siebie patrzyli. Wówczas Marya w ciele swem czuła zimno metalu, ręce ich splatały się znowu, Marya unosiła na swych palcach odcisk konturów złotej gadzinki.

I szybko do Trejny się zwróciwszy, spytała:

— Zkąd ty idziesz Trejna?

Dziewczyna ramionami wzruszyła.

— Z niedaleka.

— Horki?

Żydówka ani drgnęła.

— Nie!...—odpowiedziała.

— A pierścienek ten... powiedz, od kogo masz?

Ramię, otaczające Maryę, opadło nagle. Żydówka odsunęła się o kilka kroków, chmurnie z pod masy włosów spoglądając.

— Powiedz — nalegała Marya.

Lecz Trejna brwi zmarszczyła i ręce kurczowo koło gardła zaplotła.

— Może... wy... zmówieni!—zacharczała nagle, prostując się wyzywająco.

— Wy i... oni!

Marya chwilę milczała, wpatrując się w Trejną. A więc to ona? ta wybrana, o której niedawno,

bo przeszłej niedzieli, mówił z takim zapalem Antoni, prosząc o pozwolenie zatajenia na czas jakiś nazwiska.

I serce Maryi doznało nagłego ściśnienia. Nie była to zazdrość, o! nie, wcale. Marya i Antoni nie mieli pomiędzy sobą ani jednej chwili ekstazy miłosnej. Nie! nie, prócz wielkiej serdecznej przyjaźni, zrodzonej wśród szmeru nadbrzeżnej trzciny i ciepłych wilgotnych zapachów z łąk płynących, a mimo to Marya uczuła ból dojmujący na widok tej dzikiej istoty, noszącej na swych czarnych, pokrytych ziemią palcach, ślad bliższej z jej przyjacielem znajomości, jakiegoś zbliżenia przed nią utajonego i rażącego jej dziewiczność brutalnością zmysłowego cienia.

I chwilę długą stały tak obie naprzeciw siebie: Trejne chmurna, nieufna, dzika, spowita w cieniu swych włosów, cisnąca do piersi błyszczące cacko; Marya smutna, nagle przybita, niepojmująca niepokoju, który duszę jej szarpał i bólem nawskroś przeszywał.

Tymczasem huragan wyl z najwyższą wściekłością, szarpiąc gałęziami drzew i spódnicami kobiet, odrywając liście i witki z krzaków i rozwiewając dokoła czarne włosy Trejny. Błyskawice, które ustaly na chwilę, zwały się już teraz w nieprzerwaną lunę, piorun następował po piorunie, las dyszał cały wściekłością, rykiem stu tysięcy wierchów, kłonionych ku ziemi, opierając się brutalnej przemocy. Jak szata czarownicy rozlała się teraz czerni nieprzenikniona ponad wierzchami drzew, szarpiąc je niewidzialnymi szponami ol-

brzyma. Las dyszał jak zwierz raniony grotami i czoło podnosił ku górze, wyzywając zuchwale dręczącą go potęgę. Z wnętrza lasu wydobywały się dziwne głosy, czasem warczące groźnie, to znów w jęk przechodzące.

Na tem tle Trejne ciemniała teraz z dziwnie zczerniałą twarzą, z zaciśniętymi gwałtownie ustami. Wpatrzona w Maryę miała w czarnych swych oczach stalowe błyski rozwścieczonej i nagle w gnieździe swem stropionej wilczycy.

Długą chwilę milczały obie, mierząc się oczyma. Wreszcie Marya pierwsza przerwała milczenie.

— Dlaczego patrzysz na mnie tak dziko Trejne—wyrzekła z siłą, a wiatr słowa jej guszył i po lesie miotał—wiem, że pierścionek ten dał ci pan posesor, prawda?...

Trejne szarpnęła się gwałtownie.

— Tak co?—zapytała.

— Chcę ci powiedzieć, że on... zmówionym mi nigdy nie był i że... wolnym jest i swobodnym najzupełniej.

Trejne ręce z piersi rozplotła.

— Nie kłamiecie?—spytała nieufnie.

Marya mimowoli uśmiechnęła się smutnie.

— Nigdy nie kłamie, Trejne, zapamiętaj to sobie. Pan Antoni jeno przyjacielem mi jest. Ale... po co ty, Trejne, do Horki chodzisz? po co? powiedz do czego cię to zawiedzie? nie-szczęście sobie napytasz, więcej nic!

Trejne głowę dumnie podniosła.

— Tak co, że chodzę?—podjęła gorączko-

wo.—Tak co?—Wola moja i hołowa moja! Szczo sobie napytam, ny, to moje dzieło. Pan kolco dał, to ja wzięła. Wam do tego nic! nic! Moja sprawa i mój pan!

Gwałtownie za szyję się schwyciwszy, stanik, dławiący ją, rozdarła i paznogie w pierś wpiła.

— A jakby wy zechcieli mnie u niego krzywdę zrobić — to ja!... no!...

Pięść w górę podniosła i w świetle błyskawicy błyszcząły jej zęby, jak u młodej wilczycy.

Lecz Marya nie cofnęła się i, nie rozumiejąc dlaczego, silnym głosem odparła:

— Ja także o krzywdę swoją potrafię się upomnieć, Trejne!...

Pięść żydówki opadła.

Chwilę znów patrzyły na siebie i obie parych oczu przeszywały się wzajemnie. Było to jakieś milczące rozpoczęcie walki, w tej czerni burzliwej, przecinanej siecią błyskawic. Obie dziewczyny, jedna, złagodzona tchnieniem cywilizacji, zakuta w fiszbin i guziki, pełna delikatniejszych dążeń i porywów—druga, dzika, potężna w swej nagości, zmysłowa i pełna niehamowanej niczem brutalnej namiętności.

Nagle zaszumiało w górze, jakby tysiące orłów porwało się do lotu.

Gałęzie ugięły się pod ciężarem nawałnicy, strumienie wody bić w zielone wierzby zaczęły, kaskadą ku dołowi opadając.

Jak strzała od pnia oderwała się Trejna i, potrząsnąwszy włosami, biedz szybko poczęła.

Za nią podążyła Marya, potykając się co chwila o tysiące poplątanych pod jej stopami korzeni.

Gąszcz ustął i las stawał się teraz rzadszy, a nawet mchy ginęły i tylko brunatny pokład nawpół przegniłych igieł i szyszek rozciągał się dokoła. Tu i owdzie migiała jeszcze czerwona plama muchomora lub niewielki krzak purpurowej kamienuchy. Czasem paproć przyczaiła się do ziemi, z liliowymi dzwónkami mieszając się. Całe masy obłamanych gałęzi leżały dokoła; przed samymi nogami Maryi zwała się mała krzywa choinka, uderzając zmoczonymi łodygami kolana dziewczyny.

Przez konary drzew przeciekała teraz z szumem woda i oblewała całą głowę, ramiona Maryi, mocząc ją do bielizny. Buciki jej tonęły na śliskim gruncie, w który woda z trudnością wsiąkała, tworząc na powierzchni błyszczące kałuże. Pomimo tej wody, całą falą z góry płynącej, powietrze było ciągle rozpalone i duszące. Szum deszczu, rwącego całymi ścianami przezroczystymi, jak ze szkła w miejscach, od drzew swobodnych, mieszał się z rykiem gromów, słabnących już powoli. Tylko błyskawice olśniewały ciągle, migocząc w strumieniach wody, przecinających powietrze.

Na skrócie wreszcie lasu ukazała się karczemka, na którą całą potęgą były fale wody, płynąc po jej słomianej strzesze pochyłej i poszarpanej. Połamane i pogniecione krzaki leszczy i ożyny leżały dokoła, jak trupy tych, którym sił do walki zabrakło.

Trejne w kilku skokach drzwi karczemki dopadła i we wnętrzu sieni znikła, po chwili jednak napowrót się ukazała i, do lasu wpadłszy, o pień drzewa się oparła i tak pozostała nieruchoma, nieczując strug wody, które, z głowy jej płynąc, włosy do ramion jej przylepiały i spódnice dokola nóg opinały.

Teraz Marya do karczemki dobiegła—wzrokiem ciotki szukając, lecz z przerażeniem w drzwi spojrzawszy, stanęła, jak wryta, głosu nawet do być nie mogąc.

Na progu karczmy, tuż pod samą ścianą, na rozmoczonej przyzbie, na którą strugami woda się lała, leżała jęcząc blada i chuda, jak szkielet żydówka. Głowę miała osłoniętą chustką perkalową, na zgarbionych plecach rodzaj kilimku, który na zapadłą pierś drżącymi rękami naciągała. Koło niej, jak pisklęta z gniazda wypłoszone, tulilo się dwoje brudnych bachorów w podarte łachmany ubranych, z bosemi nożętami, tonącymi w kałuży wody.

U stóp ich leżały roztrzaskane niecki, stolek, szaflik, kilka garnków, hladyszek i parę poszarpanych króbek do noszenia poziomek. Nieco dalej roztrzaskane wały się deski tapczana i trochę brudnych betów czerwieniało, jak plamy, wśród ciemnej ziemi. Tuż koło progu rozlewały się całe kałuże brunatnej, czarnej i białej farby; w nich maczały się pętle różnej wielkości, kształtu i szczotki do czyszczenia koni. Pęki brudnych i zabłoconych szmat do obwiązywania kopyt końskich, snopy fałszywych grzyw i ogonów, cała ta

część dekoracyjna rzemiosła koniokradów, wyrwana z ciemnego kąta alkierza, mokła teraz w świetle błyskawic, ujawniając tajemnicę pilnie w głębi tej samotnej pustki strzeżoną.

Okno, wyrwane z zawiasów, z rozbitymi szybami z trzaskiem rwane wiatrem opadało na ścianę, brzęcząc ostatkami szkła w kicie jeszcze tkwiącego.

W sieni, pani Elżbieta, purpurowa, straszna, z rękami pokrławionymi od wystających z desek gwoździ, mocowała się z drzwiami, pragnąc wyrwać je z zawiasów i na dwór wyrzucić. Nieprzytomna z gniewu niszczyła gniazdo, chcąc zeń w ten sposób zwierza wypłoszyć. Z kącików jej ust płynęła piana, oczy krwią nabiegły, zęby dygotały, uderzając jedne o drugie, ręce konwulsyjnie desek się czepiały, wstrząsając całą futryną, z której glina sypać się teraz zaczęła.

Siedząca na przyzbie żydówka jęczała cicho, kilimek na siebie naciągając. Bachory z oczyma szeroko rozwartymi stały milczące, pod strugami wody całe drżące...

Teraz Marya zrozumiała całą ohydę postępuku ciotki.

Szybko porwała się i do sieni wpadła, rękę Elżbiety chwytając.

— Ciotko!... na Boga, co robisz? Ciotko!...

Głosu jej nie stało, gdy nagle w tę zapiecioną twarz spojrzała, straszną od wściekłości i krwi nabiegłej.

Palce Elżbiety kurczowo we drzwi się wpily.

— Rozbiję!... jak Boga kocham, rozbiję! —

charczała Elżbieta — krew mojąby wypili... mnie z torbami puścili... ha!...

Grzmot zagłuszył jej słowa.

Siedząca na przyzbie żydówka z jękiem ukryła głowę w dłonie, bachory przypadły do jej kolan. Marya ramię Elżbiety schwyciła.

— Puść te drzwi, ciotko! — wyrzekła rozkazująco — puść i pozwól tej kobiecie wejść pod dach razem z temi dziećmi. Hańba i wstyd na twą siwą głowę! hańba!...

Cała wściekłość Elżbiety ku Maryi się zwróciła.

— A i ty, gadzino, jesteś przeciw mnie? — syknęła od drzwi odskakując — ty, która chleb mój jesz...

— Nie twój, ciotko, lecz mój, bo pracuję nań krwawo!

— Żydów bronisz?...

— Słuszności bronię.

— Siedzieć tu prawa nie mają.

— Podczas burzy schronić się mają prawo nawet do twego alkierza. Zresztą... ta kobieta chora.

Elżbieta powoli uspakając się zaczęła.

— I ja jestem chora! — wyrzekła, niewiedząc prawie co mówi.

Marya głową wstrząsnęła.

— Zapewne, musisz być chora, skoro się dopuścić mogłaś takiego postępuku!

— Waryatką mnie zrób, tego mnie brak!

— Mów sobie, co chcesz, tymczasem daj mi to złe naprawić, które uczyniłaś!

— Co chcesz zrobić?

— Kobietę tę i dzieci napowrót pod ten dach wprowadzić.

Elżbieta ręce rozłożyła.

— Nigdy!

Marya spojrzała jej bystro w oczy.

— Ciotko! — wyrzekła powoli — nie doprowadzaj mnie do ostateczności i nie chciej, abym, zapomniawszy o twych siwych włosach, powiedziała ci to, co o tobie w tej chwili myśleć jestem zmuszona? Sama byś się cofnęła przed tą szkaradą, przed bezdenną ohydą twego postępuku! Spójrz na tę nędzę, rękami twemi rozbitą, temi rękami, które codzień pieniędzy tyle zgarniają. Spójrz!... i zapłac nad sobą, tak, jak ja w tej chwili płaczę nad ohydą postępuku twego!

I dwie, wielkie palące łzy zawisły na rzęsach dziewczyny, potem powoli stoczyły się na jej blade i nędzne policzki.

Nagle Marya ku przyzbie postąpiwszy, jedno z dzieci na ręce porwała i, szybko z niem do sieni wszedłszy, rozkazującym ruchem usunąć się ciotce kazała.

Przed tą dziewczyną, splakaną, a przecież groźną i tem dzieckiem w pół nagiem, drżącym i przemokłym, usunęła się powoli Elżbieta, jak zwierz dziki przed pogromcą w kąć klatki wpędzony.

Postawiwszy dziecko na ziemi, zbliżyła się

teraz Marya do chorej żydówki i troskliwie ją kilimkiem otulając z wysiłkiem pod ramię ujęła.

— Chodźcie!—wyrzekła łagodnie—chodźcie do izby; wy chorzy, tu siedzieć nie można!

Żydówka swe wielkie, ciemno-zielone, załzawione źrenice w twarzy dziewczyny utkwiała.

— Aj, aj!...—zajęczała—co ona zrobiła!...

I głowę swą na ramię Maryi skłoniwszy, podnieść się usiłowała.

— My to naprawimy—uspakajala ją Marya.

Teraz już deszcz padał cieńszymi strugami, błyskawice ustały zupełnie, a grzmot huczał coraz słabiej. Powoli czarne cienie nikły, włóczęc się jeszcze pod drzewami, z których gałęzi lały się całe promienie wody.

Po chwili, z drzwi karczmy wyszła Marya i roztluczone kawałki niecek i garnków zbierać poczęła. Przykładała skorupy jedną do drugiej, deski do deski, szukając gwóźdźki w rozmoczonej ziemi. Poskładawszy skorupy na przyzbie, po deski tapczana się schyliła i, na jednej z nich przykląkwszy, z betów wodę wyżymać zaczęła.

Nagle z poza chmur, nieśmiało przebił się bladawy promień słońca i rozlał dokoła klęczącej dziewczyny niepewną, białawą jasność...

Z lasu biła woń świeżej wilgoci, ożywionej zieleni, wiatr jeszcze gałęziami kołysał, strząsając resztki wody. Deszcz padał ciągle, a krople jego srebrzyły się w białym blasku z góry płynącym.

Tylko pod cieniem olbrzymiej sosny, o czarnej pień oparta, stała wciąż Trejne, chmurna, milcząca, w czarną masę swych włosów spowita, które jej przyległy do ramion, jak płaszcz z aksamitu utkany... stała i czarne swe, błyszczące źrenice, w przestrzeni utkwwszy—patrzyła...

IV.

Dworek do ziemi przysiadł nisko, dachem się szarym czerniąc wśród całej masy jasnych, zielonych gałęzi.

Małeństwo to było, z gankiem na świeżo wyciosanych kolumnach opartym, z czerwonymi firaneczkami, mającącymi w szklanej połowie drzwi wejściowych.

Na ganku dwie ławeczki drewniane, żółte, strzępiaste, źle wyheblowane, na nóżkach krzywo osadzonych i świeżo z kory obdartych. Pod jedną z ławek porzucony harap, na którym wsparta głową, drzemiała zwykle wyżlica.

Po za dworkiem sad czarny od gąszczu, z kilkoma pniami, pokrytymi słomą, dokoła których uwijały się pszczoły. Sad ku dołowi powoli opuszczał się, ogrodzony grubym żywopłotem agrestu i malin. Przez niskie pnie grusz i jabłoni rozłożystych przeciskało się słońce, złoćąc aksamit trawy, równo skoszonej. Od czasu do czasu spadła z drzewa zielona robaczywa gruszka i w trawie utkwiała, zagłębiona do połowy w pu-

szystą ziemię. Odsunięte, nie zmieszane z tłumem, sterczały samotnie śliwy, okryte srebrnopopielatymi liśćmi. Małe ścieżynki wily się tu i owdzie, zaledwie pogracowane, już prawie przez noc zarosłe, osadzone dokoła delikatnymi krzakami porzeczek. Tu i owdzie ciemne plotły się jeżyny, aksamitne, pełne soku, zwieszając grona. Sad opuszczał się ku dołowi, tworząc potrójny taras, bramowany trawą. W trawie tej liliowe dzwonki i polne bratki tkwiły. Zaplątane jakimś cudem irysy, przegowane fiolkowo, drżały pod wpływem chłodu od dołu wiejącego. Dalej, w ramię zieleni ujęty, błyskał Styr, srebrząc się u stóp sadu, który w wilgoci, z rzeki płynącej, skąpany, ożywcze, płodne swe łono otwierał miłośnie ciemnym ramieniem szemrzącej rzeki ujęty.

Tuż nad rzeką, pomiędzy kępami niezabudek i tataraku, zwolna siłą fali poruszana, kołysała się łódka niewielka, rogózką wysłana. Złamana jakieś wiosło poniewierało się niedaleko wśród trzciny, z których łątki wlatywały co chwila, zataczając w kręgi, całe błękitne i w srebrze skąpiane.

Antoni na ganek wyszedł i sukę z harapa spędziwszy, do kuchenki, wołyńskim obyczajem, zdała od domu postawionej, skierował się. Z komina kuchni dym w górę szedł siny, gorący. Przed kuchnią leżały drzazgi porzucone.

Trzech ludzi w koszulach zgrzebnych i spodniach białych tarcice piłowało. Mały wyrostek z konopiastą czupryną wysokie kolki ciosał, stannie je równając.

— Szczęść Boże!—wyrzekł Antoni, po drzazgach depcąc.

Na chwilę piszczenie pily ustalo. Ludzie rękawami spocone ocierali czoła.

— Będziecie aby gotowi? — spytał Antoni.

— Na południe wszystko stanie! — odparł jeden z robotników, pilę w rękę chwytając.

I znów zabrali się do roboty, pracując z zapalem, jakby podnieceni.

Antoni postął jeszcze chwilę i do kuchni wszedł, z której hałas dochodził niemały.

Klucznicą, dwie dziewczki i stróż nocny do wielkich kotłów mięso kładli, pierogi gnietli, ser w misce rozrabiali, kręcąc się w piekielnej atmosferze żaru i dymu.

Setki pierogów przewijanych leżało wszędzie: na tapczanie, na ziemi, na szlabanie, na przewróconej do góry dnem balii. Sama klucznicą miesiła ciasto na pampuszki, oblepiona cała hreczaną mąką, z chustką przekreconą na bakier. Jedna z dziewczek wyjmowała z pieca wielkie bochenki chleba jasnego, nadzianego jabłkami i obsypanego czarnuszką. Skwarki smażyły się w osobnym ładu; w donicy, pełnej miodu i maku, tkwił walek oblepiony ciastem. Część kuti gotowej w wielkiej hladyszce od mleka już na stole stała. Kilkadziesiąt bochenków razowego chleba w kącie kuchni zwalono.

W sieni otwarte beczki kwaszonych ogórków rozlewały dokoła ostrego zapachu kopru i bobkowych liści. W cieniu majaczyły cielska olbrzymich poplecionych korowajów, trochę od weselnego kształ-

tem się różniących. Z resztek ciasta poskubane rękami dziewczek figliki, posypane makiem, aż na ubitej z ziemi podłodze złożono. Na przyzbie zsypano gomółki, kminem przetykane, żółte i twarde, jak kamienie. Na desce, z okna wystającej, stygło kilkaset sztuk hreczuszek płaskich i czarnych.

Klucznicą, zobaczywszy Antoniego, nawet głową nie skinęła, tak bardzo była zajęta przerażaniem olbrzymich platów mięsa.

Antoni podszedł ku niej i, silną ręką udo ucielaka uchwyciwszy, do przerażania go dopomógł.

— Twarda?—zapytał, chwytając drugi pośladek i na stół go rzucając.

— Jak krzemień, jasnie panie—odparła kobieta—ten szelma Sruł takie dostawia. Mój chciał mu rano zęby tem wybić, ale bestya uciekł przed czasem!

Antoni uśmiechnął się wesole.

— Ludzie zdrowe zęby mają, zjedzą i to... prawda?

Kobieta siekierą błysnęła.

— Ta zjedzą, oj! czemu nie... oniby kamienie zgryźli, byle dać!

I dalej rąbała mięso.

Antoni dopomagał jej ciągle, zanurzając palce w zylaste, odporne mięso, lub chwytając silnie kości. Wzrokiem tymczasem wodził po tej niskiej kuchence, pełnej wyziewów, pary i ostrych zapachów czosnku i kwasu, porozlewanego dokoła. Dziewki uwijały się ciągle, dudniąc bosymi nogami po ubitej ziemi, kucając koło ławek, cią-

gnących się wzdłuż ściany, spinając do pólek, na których hladyszki, garnki, czerpaki, sita, stały ustawiane rzędem.

Antoni na niższą, pękatą, tęgą, częściej spoglądał, bawiąc się zakłopotaną miną, z jaką dziewczka mieszała krupnik w olbrzymim saganie, używając do tego drąga od miotły.

— Hanka!—zawołał wreszcie—a masz czas? Dziewczyna nagle podniosła głowę.

— Nie mam, paniczu!—zaśmiała się wesoło, pokazując białe zęby na razowym chlebie wytarte, czyste i zdrowe.

Teraz śmieli się wszyscy. Antoni, klucznica, druga dziewczka, boć wiadomo wszystkim, że Hanka, ostatnia próżniaczka, nigdy na nic czasu nie ma.

I cała kuchnia rozbrzmiewa teraz wesołością.

Pod oknem śmieli się tracze, odganiając całe masy kur, skaczących koło przyzby, na której leżały gomółki.

Antoni, podniecony, wesoły, oddychał pełną piersią, czując w sobie całą masę siły i krwi szybko w żyłach krążącej.

Wyciągnął rękę, kroczek jeden z deski schwycił i szybko pić zaczął.

Klucznica, na stół siekierę odłożywszy, pod boki się ujęła i uśmiechnięta w twarz pana patrzyła.

— A, z Bogiem, jaśnie panie... i na zdrowie!

Dziewki roboty zaprzestały i, chylochząc się cicho, trącały się łokciami.

— Dobrze! — wyrzekł wreszcie Antoni, ręką usta obcierając.

Na progu kuchenki zamajaczyła czarna, wysoka postać mężka.

— Szczęść Boże!

Antoni szybko ku drzwiom spojrział.

— Jak się masz, Polikarpie! dobrześ zrobił, wcześniej przychodząc.

Polikarp próg przestąpił. Smukły, opalony, z głową kształtną, małą, okoloną ciemnymi blond włosami, był typem chłopą wołyńskiego, trochę oskrobanego z pleśni wiekowej. W swej ciemno-brunatnej, krótkiej świtce, przepasanej wełnianym zielonym pasem, miał pozór młodego dąbczaka, jakby z tych lasów, w których dnie całe przepędzał, zapożyczył barwy i smukłości kształtów.

Na widok leśniczego, Hanka, jak burak poczerwieniawszy, pilnie coś pod szlabanem szukać zaczęła.

Druga dziewczka chychotała się cicho, kułakiem usta zatykając.

— I cóż Pan Bóg dal?—zapytał Antoni, ręce o fartuch klucznicy obcierając.

— Nic, jaśnie panie!—odparł Polikarp z uśmiechem.

— Z wyrębu wracasz?

— Tak, jaśnie panie!

— Daleko poszli?

— Całą ścianę zwalili!

Antoni brwi zmarszczył.

— Jako całą?

— Krzywiznę nawet tną, mówią, że przez pomyłkę.

— Dlaczegoś pozwolił? ha?

Antoni ku leśniczemu postąpił, który nagle się zmieszal.

— Ja?... jak Boga ukrzyżowanego kocham, cały dzień sobaczą, ale co mi przeciw takiemu Szmulowi z Siemiatycz iść! Soroka i Cytryna też przyjechali, bo to współniki. Orchim, ten szubrawiec, robotę wie dzie. Co im sosnę wyznaczą, użeraj się z nimi dzień cały. Otl... wprost za przepaszczanie!

— Ale znaczone tą?

Polikarp milczał chwilę.

— Ta niby — wyrzekł przyciszonym głosem.

Antoni żywo ku niemu postąpił.

— Jakto? niby? — zapytał. — Klejm masz od tego, byś sosny znaczył. Polikarp, co tobie?

Polikarp w głowę się podrapał.

Antoni jeszcze raz go bystrem spojrzeniem obrzucił i, próg kuchni przestępując, rozkazująco wyrzekł:

— Chodź.

Wyszli obaj z kuchni, Polikarp tak zafrasowany, że nawet nie uszczypnął Hanki, choć mu lazała pod oczy, znacząco zębami szczerząc.

Na dziedzińcu ludzie tarcice pilować skończyli i do sadu powoli je wynosić zaczęli. Tylko wyrostek jeszcze wciąż pale i kolki ciosał, dysząc ciężko i obcierając pot z czoła.

Antoni do sadu powoli schodzić zaczął, za nim szedł Polikarp z głową odkrytą, ceratową czapkę w ręku niosąc. Weszli na pierwszy taras, gdzie tracze ustawiali po pod drzewami długie stoły, wbijając w ziemię pale i pokrywając je tarcicami.

Nieco niżej urządzano ławki, które nagle wśród trawy żółciły się barwą świeżo zheblowanego drzewa.

Antoni powstał chwilę i po zarosłej ścieżce ku rzece spuszczać się zaczął. Polikarp szedł ciągle w ślad za panem, miętosząc w ręku trzymaną czapkę. Doszli tak nad brzeg wody, na której kołysała się łódka.

Wówczas Antoni obrócił się i, patrząc prosto w twarz leśniczego, wyrzekł:

— Co wiesz, gadaj!

Polikarp obejrzał się dokoła.

— Falszywy klejm mają! — wyszeptał, ku przodowi się pochylając.

Antoni ramionami wzruszył.

— Cóż znowu?

— Napewno, jaśnie panie; drzewa w nocy klejmują, a tak szelmy mądrze to ukuli, że ani weź rozpoznać niepodobna.

— A ty wiesz zkąd?

Polikarp uśmiechnął się tajemniczo.

— Ja, jaśnie panie, wiem, jak w lesie trawa rośnie, a nie jak żyd falszywy klejm do sosny ciśnie. Ja wiem!

Antoni zastanowił się chwilę.

— Jutro obławę na nich zrobić musimy, dziś od domu odchodzić niepodobna. Do jutra czekać trza.

Polikarp głową skinął.

— Tak, jaśnie panie, do jutra!

Nagle coś w krzakach zaszumiało. Polikarp obejrzał się trwożliwie.

— Ki dyabeł?—zawołał, ku krzakom się posuwając.

Lecz już w podskokach biegła wyźlica, pana swego wężąc.

— Cytra!... a pójdź tu, suczysko pocziwe—wołał Antoni, ku łódce zmierzając.

Suka w kilku podskokach po trawie się stoczyła i, do ziemi przypadszy, po piasku pelzać zaczęła.

— A chodź do łódki!

Pies szczeknął, porwał się i w łódkę wskoczył, bryznawszy dokoła wodą.

Antoni łańcuch od kółka odczepił.

— Czego ty się, Polikarp, zląkł? — zapytał z uśmiechem.

Polikarp się w głowę poskrobał.

— Dyabeł nie śpi,—wyrzekł powoli — mógł kto podsłuchać, potem ja by grzbietem nałożył. To już tak zwyczajnie.

— Tchórzem ty podszyty leśniczy, mój drogi, kiedy się szelestu krzaków boisz! Przy tobie ja czuć muszę, bo inaczej las na marneby poszedł!

Chwilkę milczeli obaj, w dal patrząc.

— Jaśnie panie—pierwszy zaczął Polikarp—na marne i tak idzie, boć siekiery dokoła grają, i czy już tam żyd jedną sosnę więcej wywiezie—toć już chyba tem lasu nie ocale!

Opalona jego twarz pociemniała jeszcze od purpury, co mu do skroni nabiegać zaczęła.

— Z lasem ja się zrósł—mówił dalej, a Antoni, oparty o wiosło, słuchał i w dal sinawą pa-

trzał—z lasu ja prawie wylazł na świat—ot takim dzieckiem!... Z lasu ja obyczaje, mowę i głos przejął—a ot teraz, żydowska albo niemiecka siekiera mi sosny moje rąbie, na ziemię wali, młódź trzebi i jeszcze potem z ziemi korzenie szarpie. Toż teraz, gdzie ja miał gąszcz, prost łyśa polana się ściele i Niemcy się grzebią jeden po drugim. Co [robić? ręce mi z chęci opadły, bo już ani szumu, ani mojej zieleni! Ot — choć siadłszy — płacz!... Zaprzepaszczenie wprost!

Antoni głową potrząsł.

— Pan Brunon tak chce, nie nasza to ziemia, Polikarpie; wiesz sam, pan każe, [sługa musi!

Chłop zachnął się niecierpliwie.

— A już też sprawiedliwości Bożej niema chyba nad nami, kiedy takie niszczenie odbywać się może. Ot, jaśnie panie serdeczny spójrz! Ta, jak wał ten szmat dąbczaków, co go ondzie widać na krajuśku, a taki pan hrabia już go z Cytryną oglądał i po dębach pukali, co jeszcze takie młodzieńkie, ot, jak parobczaki, co im lat niewiele. Ja za nimi z musu szedł, ale aż zęby ścisnął, jak nieczysta dłoń się dębu dotknęła! Temu mnie już ani siły, ani chęci, ani woli do pilnowania nie staje. Jak się na koronę tą zieloną spojrzę, to wiem, że niedługo ziemię zamiatć będzie... Ot!

Ręką machnął i stał chmurny, zapatrzony w ciemny wał lasu, który po drugiej stronie Styru po za łąkami na wzgórzach majaczył.

Tymczasem ludzie zajęci ustawianiem sto-

łów, już się na drugi taras wydostali i tarcice rozkładać zaczęli.

Antoni usiadał w łodzi i wiosło silnie ujął.

— Ostań tu! — wyrzekł do leśniczego — pilnuj, aby tak wszystko urządzono, jak przeszłego roku, ja niebawem wrócę.

— Gdym przez trakt jechał, widziałem gromadę z Modliszcz, jak ciągnęła polami — odparł Polikarp.

— Muzykanci będą.

— Zamówiłem ich w miasteczku.

— A tych, co pierwsi przyjdą, pilnuj, aby się do wódki nie dobrali, aż wrócę!

Polikarp zaśmiał się głośno.

— Już dam ja im radę, jaśnie panie. To ani Niemcy... ani — żydy! — dorzucił ciszej, oglądając się dokoła.

Ale już Antoni kilkoma uderzeniami wiosła wypłynął na środek rzeki i szybko pruł srebrno-złote fale. Sad za sobą zostawił i teraz miał po obu brzegach całe masy wierzb, niskich, pękających, osadzonych na poplątanych, czarną ziemią pokrytych konarach. Pomiedzy wierzbami temi płynął czas jakiś, wciągając w siebie wilgotną woń mokrzyicy, co przy brzegach rosła, zmieszana z masą błękitnych niezabudek.

I nagle z pośród wierzb tych na płaską zieloną łąkę się wydostał, na której kilkanaście krów porozrzucanych jasne plamy wśród zieleni znaczyło. Z pośrodku łąki ku niebu płynął wązki

pasek dymu białawo-sinawego. Kilkoro dzieci w zgrzebnych koszulach dokoła ognia na brzuchach leżało, pięty bosc w górę podnosząc. Nad brzegiem mała dziewczyna, w rozpiętej na pierśsiach koszuli, w czerwonej długiej spódnicy, wzrokiem ściagała mknącą po rzece łódkę.

— Szczęść Boże! — krzyknął Antoni — lecz napróżno czekał na odpowiedź. Dziecko pozostało nieruchome, ani jeden muskuł nie zadrgał na jego twarzy.

Antoni ramionami wzruszył i wciąż pilnie wiosłował, spoglądając od czasu do czasu ku górze. Niebo było ciemne, lazurowe, bez śladu obłoków, czyste, wspaniałe. Słońce dobiegało szczytu, promienne, gorące, złociste. Zdaleka majaczyły wzgórza, pokryte ciemną zielenią drzew.

Pomiedzy niemi nikła srebrna wstęga Styru, Antoni mimowoli myśleć zaczął o ujranej przed chwilą dziewczynce.

Nie odpowiedziała mu nawet na pozdrowienie ta dzika, wólńnaga istota. Czuł na sobie spojrzenie jej wielkich błękitnych oczu; w oczach tych był cień smutku, ludowi właściwy. Ze smutkiem tym Antoni spotykał się w spojrzeniu każdego niemal chłopca, gdy jeszcze dzieckiem w Turmem od ojca do wsi się wykradał. I smutek ten, melancholia ta ciągnęła jego wrażliwą i subtelną mimowoli naturę ku sobie. Zdawało mu się, że pod temi płowemi grzywami znajdzie całe

przepaście uczuć i tęsknoty, omylił się jednak. Życie mu wykazało pomyłkę ciężką i nieraz, smagając dotkliwie iluzyowe zasłony z ocz darło. Powoli Antoni począł cenić chłopów, jak siłę roboczą, pełną sprytu i wiecznej nienawiści, i nie szukając bohaterów, do dna dusz tych nie sięgał.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.



47 132/1

Odstawienie od piersi
 jest najważniejszym momentem w życiu niemowlęcia.
 Lekarze stwierdzili, że
MACZKA MLECZNA NESTLÉ'a
 umożliwia odstawienie od piersi w każdej chwili, bez względu na porę roku i ułatwia znakomicie ząbkowanie.

SERKI ROZENTOWO
 z czystej świeżej gotowanej smietanki są najzdrowsze, najsmaczniejsze, pożywne i lekkostrawne.
LEKARZE ZALECAJĄ ZADĄC WSZĘDZIE.

Smietanka sterylizowana i homogeneizowana
 Mleko sterylizowane i homogeneizowane ©
ROZENTOWO
 bez zarazków, nie psuje się, najlepsze, wzmacniające pokarmy dla osłabionych, chorych, dzieci i niemowląt.
 Pierwsze powagi lekarskie zalecają
Zadąć wszędzie.
 Wystrzegac się podrabian.
 Na każdej butelce musi być etykieta z napisem
 „Rozentowo” ©

Główny skład na Królestwo Polskie, A. Schmolke,
 Warszawa, Marszałkowska 149, tel. 42-71.

Towarzystwo Akcyjne

„Fr. Karpiński“

w Warszawie

ul. Elektoralna 35, telefon 600

poleca

Karpińskiego

Mydło Alkaliczne

do mycia twarzy u osób z cerą tłustą, połyskującą, skłoną do wągrów i pryszcz, oraz przy łuszczeniu się skóry. Cena kop. 40 za szt.

W wypadkach uporczywszych używać należy

Karpińskiego

Mydła Alkalicznego Nr 2

Cena kop. 40 za szt.

Karpińskiego

Mydła Ogórkowe

hygieniczne, usuwające opaleniznę i piegi.

Cena kop. 50 za szt.

Karpińskiego

Mydła Neutralne

znakomity środek higieniczny do pielęgnowania twarzy, rąk oraz ciała u dzieci. Cena k. 40 za szt

Żądać wszędzie.

Istniejący od roku 1850.

Zakład Ogrodniczy
i Skład Nasion

C. ULRICH

w Warszawie Ceglana 11.

Poleca w wielkim wyborze:

NASIONA WARZYW
NASIONA KWIATÓW
NASIONA ROLNE
NASIONA TRAW
CEBULKI KWIATOWE.

Drzewa owocowe w koronach
Drzewa i krzewy ozdobne
Drzewa alejowe i na solitery
Róże pienne i krzaczaste.
SZPARAGI, TRUSKAWKI i POZIOMKI.

Narzędzia ogrodnicze i nawozy sztuczne.

PALMY, PAPROCIE, AZALJE, BZY
i DRZEWA LAUROWE.

ZAKŁAD FREBLOWSKI
Haliny Tarnowskiej
 WARSZAWA, Zielna 11.
 Przyjmuje freoblistki i ochro-
 niarki. Kierunek ściśle pe-
 dagogiczny. 12—6

St. Lipczyński
GRAWER
 Dostawca towarzystw Sportowych
 WARSZAWA
 Marszałkowska Nr. 149.
 tel. 134-84 13—6

Magazyn Bielizny
R. MALICKI
 Chmielna Nr. 20.
 Wybór wielki 26—6
 Ceny przystępne.

CHLEB SZWEDZKI ORYGINALNY
 dietetyczny dla djabetyków i osób
 cierpiących dolegliwości żołądka
 poleca
 Handel win i Delikatesów
L. Koziarski
 dawniej 10—2
 „Rektyfikacja Warsz.”
 ul. Ś-to Krzyska róg Jasnej № 11.

FORTEPIANY I PIANINA
 po cenach najniższych poleca
A. Owczarski
 Mazowiecka Nr. 11.
 tel. 110-38. 52—6
 Gruntowne reparacje.

Pracownia i Magazyn wyrobów
**SREBRNYCH,
 ŻŁOTYCH i
 z BRYLANTAMI**
KAZIMIERZ 52—6
BRETSZNAJDER
 Warszawa, Marszałkowska 92.

Pierwszorządne Kaucjonowane
BIURO NAUCZYCIELSKIE
Leokadii Max
 Warszawa, Marszałkowska 148.
 Telefon № 124-38.
 Poleca: nauczycielki, nauczy-
 cieli, freblówki, bony polki
 Francuzki, angielski, niemki —
 sprowadza z własnych biur za-
 granicznych. 12—2

MAGR. W. ZEOT. MEDALEM W PARYŻU.
ZNANY
ZE SWEJ
SKUTECZNOŚCI
NA WYNIŚCZENIE
ODCISKÓW
WYSTRZEGAĆ SIĘ
ARAGO
St. GÓRSKIEGO
 35 k
 60 k
 LESZNO 12
 NASŁADOWNICTW

Zdrowie jest najcenniejszym skarbem dla wszystkich.
SŁYNNA W CAŁYM ŚWIECIE

Herbata z gór Harcu

Dr. Lauer's Harzer Gebirstea). Zalecana przez najslawniejsze po-
 wagi lekarskie zatwierdzona przez Departament Medyczny przy
 Ministerjum Spraw Wewnętrznych w Petersburgu, jest jednym
 z najniezbędniejszych środków do utrzymania zdrowia. Napój ten
 przyjmowany w ilości 2—3-ch filiżanek tygodniowo, leczy wyrzu-
 ty, liszaje, uderzenia krwi do głowy, hemoroidy, reumatyzm,
 cierpienia żołądka i t. p. przywraca apetyt, prawidłowe trawienie
 Działa skutecznie w wypadkach zapalenia płuc, influenzy, choleryny
 Cena pudełka Rub. 1, pół pudełka 50 kop
UWAGA. Każde oryginalne pudełko zaopatrzone nas'ępującą ety-
 kieta: Reprezentant na Królestwo Polskie i Cesarstwo:

JÓZEF GROSSMAN

Warszawa, Złota 26. Kantor i skład w podwórzu. Tel. 184-44.
 Zamiejscowym wysyłam za zaliczeniem od 1 rubla z doliczeniem kosztów przesyłki
 podług taksy pocztowej. Wystrzegać się falsyfikatów.

NAJWIĘKSZY POLITYCZNY DZIENNIK POLSKI
GŁOS WARSZAWSKI

„GŁOS WARSZAWSKI“ stawia sobie za główny cel dostarczanie
 dokładnych, bezpośrednio ze źródła czerpanych informacji o spra-
 wach ogół polski obchodzących i oświectanie ich ze stanowiska
 interesów narodowych polskich.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: SZPITALNA 14.
 TELE.: REDAKCYI 88, ADMINISTRACYI 25-51, DRUKARNI 172-28.
 SKRZYŃKA POCZTOWA 257.
 RACHUNEK PRZEKAZOWY Nr. 14 w BANKU TÓW WSPÓLDZIELCZ.
 CENA PRZEDPŁATY:

W Warszawie:
 rocznie rb. 9.00
 półrocznie „ 4.50
 kwartalnie „ 2.25
 miesięcznie „ —75
 za odnośnię do domu 10 k. mies.
 Z przesyłką pocztową:
 rocznie rb. 12.—
 półrocznie „ 6.—
 kwartalnie „ 3.—
 Za granicą:
 kwartalnie rb. 4.50
 Zmiana adresu 20 kop.

CENA OGŁOSZEŃ:
 1-sza str. i wiersz petitu . kop. 60
 Nadstawane rb. 1.10
 Reklamy „ —.30
 Nekrologi „ —.20
 Zwycajnie „ —.15
 Drobnie ogł. i wyraz „ —.03
 Za grubszy druk —podwójnie.
 Za tłomaczenie dodlicza się po
 2 kop. od wiersza.
 Za dołączenie prospektów do „Gło-
 su“ płaci się rb. 10 od tysiąca
 i opłata pocztowa.

Cena oddzielnego egzemplarza 3 kop. Dostać można we wszystkich
 agencjach pism, kioskach i na kolejach. Prenumerować można we
 wszystkich kantorach pocztowych. Żądać numerów okazowych.
 Najpoczytniejszy organ na prowincyi.

„KURJER POLSKI“ na rok 1912-y.

Pismo społeczne i polityczne, wychodzi codziennie nie wyłączając świąt pod redakcją Ludwika Straszewicza.

Cena cztery ruble rocznie, jeden rubel kwartalnie, dla wszystkich, którzy prenumerują „KURJERA POLSKIEGO“ bezpośrednio — w kantorze pisma, lub przesyłają pieniądze przekazem.

Dla osób prenumerujących KURJERA za czyimkolwiek pośrednictwem (księgarzy, biur pocztowych i t. d.) „KURJER POLSKI“ kosztuje: rocznie rb. 4 kop. 60; półrocznie rb. 2 kop. 30, kwartalnie 1 rubel kop. 15.

„KURJER POLSKI“ pomimo tak niskiej ceny zawiera też samą treść, co dzienniki duże i drogie. Więc artykuły wstępne najrozmaitszej treści. Wiadomości z całego świata. Informacje naukowe i życiowe. Telegramy i t. d.

„KURJER POLSKI“ co tydzień dodaje bezpłatnie wszystkim prenumeratorom, ilustrowany

„TYDZIEŃ POLSKI“

w którym mieszczą się interesujące artykułiki naukowe, historyczne, powieści, nowele, różności, fraszki, szarady, zadania i t. d.

Warszawa, Ś-to Krzyska N-ry 34 lub 36.

GONIEC PORANNY I WIECZORNY.

NAJPOCZYTNIEJSZE PISMO POLSKIE.

Wychodzi dwa razy dziennie przy współpracownictwie wybitnych publicystów i literatów polskich. GONIEC stoi na straży ideałów narodowych i wyznaje zasady szczerze demokratyczne. Wielka poczytność „Gońca Porannego i Wieczornego“ czyni najodpowiedniejszym pismem dla wszelkich ogłoszeń.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje główny kantor:

ZGODA Nr. 5, oraz nasze filje i kantory.

Cena Prenumeraty „Gońca Porannego i Wieczornego“.

W WARSZAWIE: miesięcz. k. 60, kwartal. rb. 1 k. 80, rocznie 7 k. 20.
NA PROWINCJI: „ „ 80, „ „ 2 „ 40, „ 8 „ 60.
ZA GRANICĄ: miesięcznie rb. 1 k. 40, kwartalnie rb. 4 k. 20.

Zmiana adresu pocztowego kop. 20. Za odnośnienie miesięcznie kop. 15-

Cena egz. Gońca Porannego i Wieczornego 2 k. na prowincji k. 3.